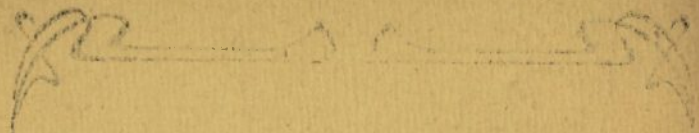


3

KRÓTKIE WSPOMNIENIE
O MARYI Z TABĘCKICH
MECENASOWEJ
WROTNOWSKIEJ



WARSZAWA ————— 1910
Druk Drukarni Polskiej, Jasna 2.



IN DER WELT

UND IN DER GEBIRGE

UND IN DER WÄLDER

UND IN DER
WÄLDER



UND IN DER WÄLDER

UND IN DER WÄLDER

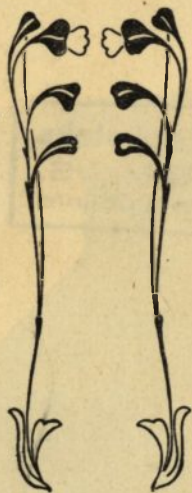


11887, 150.

Krótkie wspomnienie

O MARJI Z TABĘCKICH

Mecenasowej Wrotnowskiej



Bolesław Banach

WARSZAWA — 1910.

Druk Drukarni Polskiej (L. Straszewicza), Jasna 2.

A-11556



1000172185

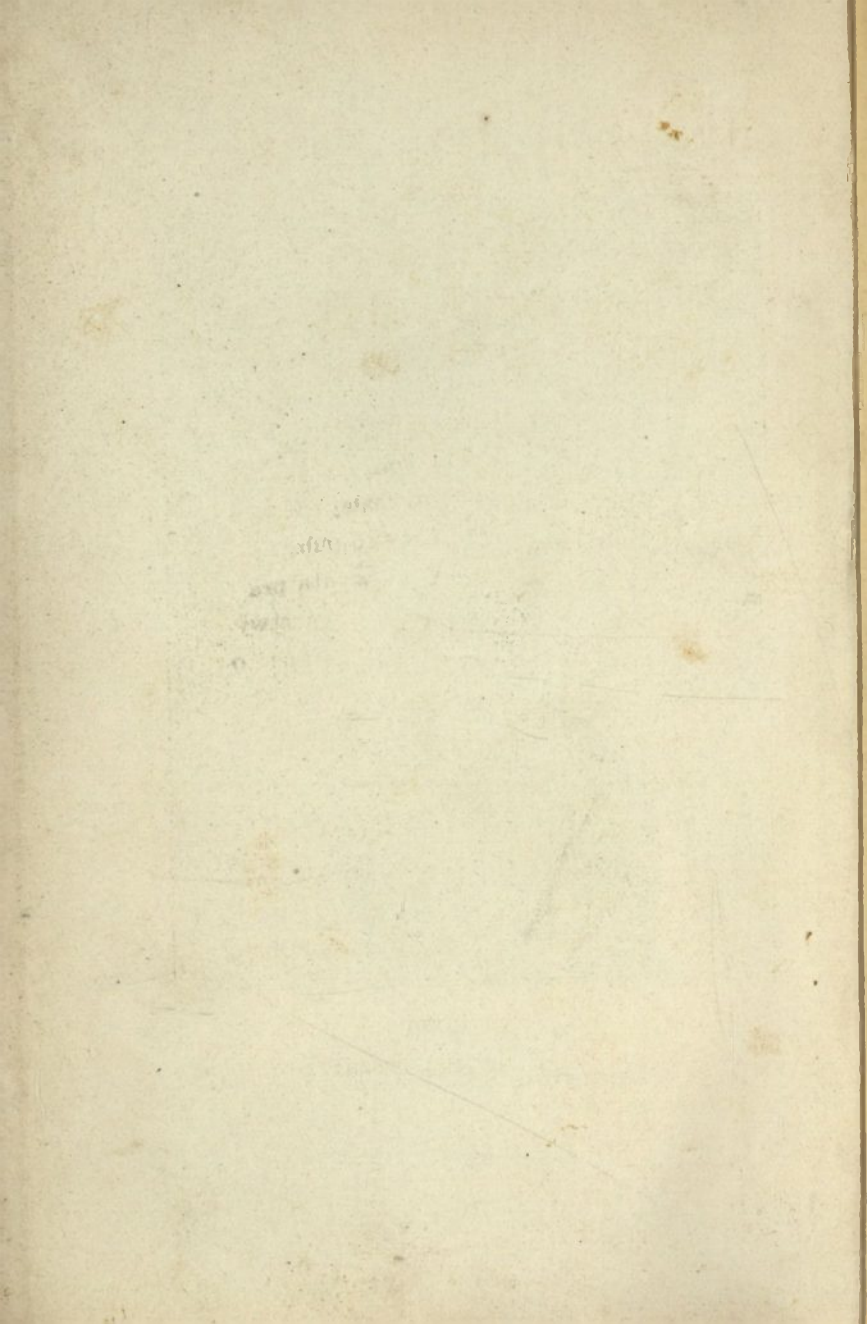
Biblioteka
U.M. C. S.
w Lublinie

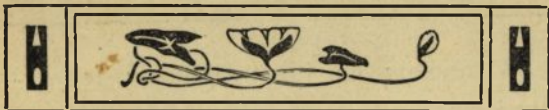
N. 239. 2

K. 239 | 56 | 239



Marja z Tabęckich
Mecenasowa WROTNOWSKA.





Rok temu przeszło, umarła w naszym kraju, w majątku rodzinnym Dłutowie, na granicy pruskiej, osoba niepospolitych zalet, tak serca, jak i umysłu. Dziwną koleją rzeczy na świecie, ta kobieta, która tyle w kraju zdziałała, która całej dobroczynności Warszawskiej nowy impuls, nowe życie wlała, odeszła z tego świata prawie w zapomnieniu. Szersze warstwy społeczeństwa nie wzruszyła wiadomość o jej śmierci; gazety ledwo pobieżną wzmiankę o niej podały; kilka towarzystw filantropijnych, które jej swój byt zawdzięczały, ogłosiły Msze św. za jej duszę; nikt się o niej gorętszemi słowy nie odezwał, i teraz, mało co więcej, niż rok po jej śmierci, prawie nikt nie pamięta o jej istnieniu. Jej imię legło w zapomnieniu, tak jak ciało, na biednym Dłutowskim cmentarzu, gdzie, jak najuboższa, chciała być pochowana.

W nielicznych już świadkach jej życia i działalności, pamięć tej niepospolitej kobiety, tak prędko jednak zatrzeć się nie da, i nie powinna, i dlatego chciałabym zebrać choć trochę wspomnień z jej życia, nie kusząc się wcale o napisanie dokładnego zyciorysu. Głównie tylko wspominać będę o działalności jej dobroczynnej u nas, w Warszawie, gdzie jej gorąco miłujące serce tyle otarło łez, tylu biedom ulżyło, tyle nowych instytucji powołało do życia; a z drugiej strony wlało swój zapal i swoje poświęcenie w inne serca, często światowe, często obojętne dotąd na nędzę bliźnich, i nowe horyzonty, nowe ideały życiowe przed oczami ich duszy otworzyło. To samo już liczy się na niemałą jej zasługę. Kto drugich umie zapalać do dobrego, szlachetny cel życia im pokazując, ten nietylko na pamięć, ale i na wdzięczność serdeczną zasługuje. Tą kobietą była Marya z Tabęckich mecenasowa Lucyanowa Wrotnowska.



I.

Marya Tabęcka urodziła się w Dłutowie (gubernia płocka, powiat mławski), z ojca Konstantego i matki Anieli z Krępskich, dnia 2-go sierpnia 1848 roku. Pierwsze lata jej dzieciństwa upłynęły bardzo szczęśliwie, wśród liczного rodzeństwa, kochających rodziców i otoczenia, którego była ulubionem dzieckiem. Początkowe nauki udzielała jej i całemu rodzeństwu matka: opowiadała mi nieraz później pani Wrotnowska, jak matka jej, całym wychowaniem dzieci kierowała: nie było w domu Dłutowskim nauczycielki, matka sama dzieci uczyła. Życie na wsi było spokojne, jednostajne. Choć Dłutów, położony na samej prawie granicy Prus Zachodnich, miał dużo sąsiedztw, jednak ranne godziny były codziennie obrócone na naukę; matka, pomimo zmęczenia, często niezdrovia, nigdy tych lek-

cyi nie opuszczała. Musiała to być kobieta wielkich zalet i wielkiego hartu ducha, by móżdż, bez żadnej pomocy, te pierwsze wychowanie i nauki dzieci przeprowadzać tak konsekwentnie.

Ród Krępskich odznaczał się zawsze niezłomną wolą i siłą charakteru: dziadek P-ni Tabęckiej, major Krępski, był bratem P-ni Generałowej Górskiej, a wiemy wszyscy, jak P-ni Górską po śmierci męża, potrafiła pokierować powikłanemi interesami, i jak synów wychowała. Ci synowie wszyscy wyszli na znakomitych obywateli kraju, głęboko religijni, zasłużeni mężowie, dość powiedzieć że byli nimi: Ludwik, Konstanty, Jan i Stanisław Górscy. Nasza wówczas, mała jeszcze, Marynia Tabęcka, zalety te, siły woli, hartu ducha, po matce odziedziczyła. W dzieciennych latach odznaczała się ogromną prawdomównością, kłamstwa nie znosiła, nie rozumiała; co było w jej myśli, sercu, wypowiedzieć musiała, choćby czasem nawet niepotrzebnie: tę zaletę czy wadę, zachowała i w późniejszym wieku, lecz z takim wdziękiem

nawet nieprzyjemne prawdy ludziom wypowiadała, że nikt się za nie obrażać nie myślał. Odznaczała się także niesłychanie dobrem sercem i wielkiem miłosierdziem, nigdy o sobie nie myśląc, a starając się zawsze przyjść w pomoc cierpieniu; wszyscy zwracali się chętnie do dobrej panienki.

Później zajmowała się dużo biednymi i chorymi w majątku rodziców. Po roku 1860 wyjechała Pani Tabęcka z córkami do Wrocławia, a potem do Drezna dla dalszego kształcenia ich.

Obdarzona wielkimi zdolnościami, uczyła się Marynia Tabęcka bardzo łatwo, ale nie systematycznie, nie mogąc nieraz nagiąć bujnej wyobraźni do suchej gramatyki, lub arytmetyki i geografii. W tym czasie, będąc kilkunastoletnią dziewczynką, zaznała pierwszych ciężkich zmartwień w życiu. W krótkim przeciągu czasu straciła dwóch braci Józefa i Michała, już dorosłych i najpiękniejsze rokujących nadzieje. Mając naturę tak wrażliwą, a serce nad wyraz dobre, odczuła ogromnie tę podwójną stratę. Zaledwie zdołała przeboleć,

przyszły wypadki z roku 63-go i te wstrząsnęły głęboko jej duszą i pozostawiły niezatarte w niej wspomnienie. Może od tych chwil datuje gorący patryotyzm, którym się całe życie odznaczała.

Dwóch pozostałych jej braci, zaciągnęło się do powstańców: starszy z nich Konstanty, przyplacił to kilkumiesięcznem więzieniem, młodszy, Franciszek zginął w 18-tym roku życia. Wart zanotowania jest fakt, że gdy ciało zabitego syna, po utarczce w okolicach Dłutowa przyniesiono matce, pierwszymi wyrazami uczucia P-ni Tabęckiej były słowa: „Gdybyż się to życie choć Ojczyźnie było przydało“.

Smutek, ogarniający kraj cały, nowa żałoba w rodzinie, ciężkie troski, cisnące się zewsząd nie potrafiły złamać silnej woli młodziutkiej dziewczyny. Wyrobiły w niej niezwykłą siłę charakteru, panowania nad nerwami, i taką pogodę wśród przeciwności losu, że tem każdemu imponować musiała, a w dalszem, bardzo ciężkim przy końcu, życiu, w heroiczny prawie sposób się objawiły.

W roku 1867, Pani Tabęcka z córkami spędzała lato w Ischl'u. Tam się nasza 19-to letnia Marynia poznała ze starszym zaledwie o parę lat od siebie Lucyanem Wrotnowskim, synem Antoniego i Gabrieli z Brezów, do którego uczuła zaraz wielką sympatyę. To uczucie zamieniło się prędko, w zobopólne, silne przywiązanie. Lucyan Wrotnowski był dopiero co ukończył nauki w Paryżu, a obecnie zajęty był pisaniem rozprawy do egzaminów i z tego więc powodu zapewne oświadczyzny nie zaraz nastąpiły. Pani Tabęcka wyjechała i dopiero w parę miesięcy później po ukończeniu egzaminów, przyjechał młody Wrotnowski do Dłutowa, gdzie niebawem oświadczył się o rękę Maryni i został przyjęty. Tak dziecinnie usposobiona była jeszcze młodziutka Marynia Tabęcka, że zaraz po oświadczynach wbiegła jak wicher do pokoju matki wołając: „Mamo, mamó, długa suknia i kawaler“!

W lutym, następnego roku odbyły się zaręczyny, a 4-go Października 1868 r., ślub, po którym państwo młodzi przyjechali do

Warszawy. Po urodzeniu pierwszej dziewczynki, Marya Wrotnowska ciężko zapadła na płuca, i trzeba było ją wywieść na południe na dłuższy pobyt. Podczas tej nieobecności umarła jej córeczka, i po powrocie nie zastała już przy życiu pierwszego swego dziecka. Potem przyszli na świat jej synowie: Stanisław i Franciszek, a ona całkowicie poświęciła się wtedy ich wychowaniu.



II

Drugi okres tego opowiadania rozpocynam od mego pierwszego zbliżenia się z Maryą Wrotnowską.

Poznałam ją dopiero w roku 1880-go, na balu jako młodą mężatkę, już matkę dwóch synów. Pierwsze jej poznanie, niezatarte do tej pory zostawiło mi wrażenie: nigdy tak piękniej, tak pełnej powabu i uroku postaci nie widziałam. Wzrostu bardzo wysokiego, wysmukła, wdzięku i harmonji pełna w każdym poruszeniu; głowa mała, otoczona splotem hebanowo-kruczych włosów, miała Marya Wrotnowska w całej swej postaci coś dziwnie pociągającego; oczy przepyszne pełne rozumu, dobroci, a umiejące być często filuterne, owal twarzy nieporównanej czystości, usta karminowe, ślicznie wycięte, z uśmiechem prawdziwie dziecinny: było w niej coś tak ujmującego, że nikt się jej oprzeć nie umiał:

była to w owej porze najpiękniejsza, najurodziwsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałam. Przy bliższem poznaniu można się było prędko przekonać, że zalety jej umysłu i serca, zrównoważały jej zewnętrzne przymioty. Umysł bystry, spostrzegawczy, inteligencya wprost nadzwyczajna, dar rozmowy, umiejętność szczególna w trudnej sztuce zainteresowania każdego, który się z nią spotkał, i wydobycia na jaw zalet, o których sam był jeszcze nieświadomy, czyniło to, że w obcowaniu z nią każdy zaczynał więcej ufać w swoje siły, i dziwił się, odkrywając w sobie niepostrzeżone przez siebie dotychczas sprężyny czy w umyśle, czy w charakterze, za pomocą których życie mu się jaśniejsze, piękniejsze, użyteczniejsze przedstawiało. W ogóle znamienny typ jej charakteru, że każdemu bodźca dodawała; pesymizm był dla niej niezrozumiałym; obcując z nią, trzeba było przejąć jej energję, odwagę, czynne działanie: ona marzycielstwa, apatyi, gnuśności nie dopuszczała, ani u siebie, ani u drugich. Bardzo żywego i weso-

łego usposobienia, chciała, żeby wszyscy naokoło niej byli weseli, czuli się szczęśliwi: jej śmiech czysty, a srebrzysty, tak był zaraźliwy, że każdy się do niego nastrojał, chcąc czy nie chcąc. Na nasze apatyczne charakteru był to prawdziwie, jak budzik, a budził tylko do dobra i piękna, do zanego czynu i do mądrej inicjatywy. Serce miała Marya Wrotnowska gorące, czułe, ale żadnego sentymentalizmu w niem nie było: nie rozczulała się w słowach, tylko w czynach umiała nieść ulgę i pociechę skuteczną: serce to się odczuwało, choć je mało objawiała na zewnątrz, i dlatego często zdarzało mi się słyszeć obwinianie ją o brak serca; tłumaczę to tem, że z usposobienia bardzo wesoła, obdarzona naturą bardzo odporną na wszelkie przeciwności, z drugiej strony, kobieta dziwnego hartu woli i siły charakteru, choć odczuwała głęboko, nie pozwalała sobie pokazywać tego na zewnątrz. Należy dodać, że jej to może łatwiej przychodziło, niż innym, z powodu tej ogromnej, a rzadkiej u nas żywotności charakteru. By-

ła to może jedna z głównych przyczyn jej wpływu na ludzi.

W epoce, w której ją poznałam, żyła życiem bardzo światowem, lubiła świat, a świat ją uwielbiał, ale dla takiej, jak ona natury, świat, tylko bawiący się, tańczący i flirtujący, nie mógł na długo wystarczyć; banalność światowa, rozmowy, konwenanse, prędko zbrzydły tej samoistnej i oryginalnej naturze, zaczęła więc otaczać się literatami, osobami, mającemi zasługi w sztuce, w naukach, w publicystyce. Mieszkała wówczas na Królewskiej ulicy, róg Zielnej, i tam otworzyła swoje czwartki, gdzie cały już dzień, od 12-ej z rana do nocy spotkać było można wraz z osobami z wyższych sfer arystokratycznych, osobistości, znane w literaturze, w dziennikarstwie, w sztuce. Sienkiewicz bywał tam wtedy bardzo częstym i zażyłym gościem, Edward Leo, König, Lubowski, Antoni Zaleski, ks. Chełmicki, młodym jeszcze księdzem będąc, Mściśław Godlewski, Fałat, Witkiewicz i wielu, wielu innych. Przejezdne znakomi-

tości, jak pp.: Karolowie Chłapowscy (Modrzejewska) i inni, do gościnnych jej drzwi zawsze pukali, będąc w Warszawie. Nadzwyczaj miły, sympatyczny, pełen prostoty nastrój, panował na tych zebraniach, każdy się czuł, jak w domu. Wszystkie kwestje były poruszane: gospodyni domu, pełna werwy, humoru, kierowała ożywioną rozmową, a mąż jej, mecenas, Lucyan Wrotnowski, człowiek wytwornego obejścia i wyższej inteligencji, dopełniał harmonij ogólnej.

Przy tych kolacyjkach, gdzie wykwintność kuchni i piwnicy dopełniała i dostrajała się do dyapazonu rozmowy i przebłysków humoru i dowcipu, siedziało się późno w noc, zapominając o czasie; nieraz dopiero koło 3-ciej, 4-ej z rana, rozsądniejsi lub bardziej zajęci goście wracali do domu, gdy reszta przedłużała sobie te miłe chwile.

Maryi Wrotnowskiej natura była jednak zbyt czynną, serce za gorące, a umysł za wszechstronny, żeby to, w jednym kierunku prowadzone życie, jej wy-

starczało. Mając teraz dość swobodnego czasu, gdyż mąż cały dzień był zajęty interesami, dwaj synowie: Stanisław i Franciszek, kształceni byli w austriackiej szlacheckiej szkole Thieresianum, oddała się pani Wrotnowska z całą energią i zapałem, które były w jej bogatej naturze, sprawom filantropijnym i dobroczynnym. Zobaczymy, co jedna kobieta z energią i wolą może zrobić nawet w tak trudnych warunkach, jakie wtedy panowały w Warszawie. Cały szereg instytucji społecznych i dobroczynnych jej swój byt zawdzięczają. Chcę mówić o nich w porządku chronologicznym, jako jedne zapoczątkowała, drugie zorganizowała, w innych sama własnoręcznie pracowała z poświęceniem, zaparciem się siebie, nieraz z uszczerbkiem swego zdrowia, które też pod koniec bardzo zaczęło szwankować. Pierwszym z rzędu są zainicyowane przez nią Przytułki Noclegowe, które teraz są pierwszorzędną, wielką instytucją warszawską pod przewodnictwem księdza kanonika Zygmunta Chełmickiego. Począ-

tek tego dzieła był następujący. Jedna z jej bardzo dobrych znajomych, będąc jednego dnia raniutko w kościele Ś-go Aleksandra, u drzwi kościelnych zobaczyła biedaka, brudnemi łachmanami okrytego, trzęsącego się od zimna, pokrytego robactwem. Wdała się z nim w rozmowę i na zapytanie, gdzie mieszka, dowiedziała się, że w „cieplarni“.—A gdzie się znajduje ta „cieplarnia“?—zapytała. A, to w cyrkule Ś-go Aleksandra, ulica Mokotowska, odpowiedział jej żebrak. Zaintrygowana tą cieplarnią, a nie namyślając się długo, dobrawszy sobie do pomocy parę osób jeszcze, poszła ta pani wieczorem tego samego dnia pod wskazany numer, na wyszukanie „cieplarni“. Zastała suterynę, gorzej, niż suterynę, bo rodzaj lochu piwnicznego, bez okna, norę, oświeconą dymiącą lampką, gdzie natłoczeni byli różni bezdomni nędzarze, biedacy, mężczyźni i kobiety, dla spędzenia nocy. Tapczanów tam nawet nie było, na wilgotnej ziemi spali, i to jak spali? Jeden obok drugiego, nie mając dość miejsca, by się wyciągnąć,

w siedzącej postaci, łokcie na kolanach podparte, głowa na rękach i tak odpoczywali ci nieszczęśliwi, w brudzie, okropnym zaduchu, po całodziennej pracy lub włośczęgostwie. Ten widok przejął do głębi zacne serce tej pani. Postanowiła nie czekając, opowiedzieć P-ni Wrotnowskiej czego była naocznym świadkiem. P-ni Wrotnowska przejęta zgrozą na to opowiadanie, a dążąc zawsze do natychmiastowego a praktycznego zaradzenia złemu, obmyśliła zaraz następujący sposób.

Był wtedy w Warszawie oberpolicmejstrem hr. Tołstoj, którego żona była zacną i dobroczynną osobą: ją więc zainteresowała P-ni Wrotnowska sprawą bezdomnych, przedstawiła jej z żywością i obrazowością, jej tylko właściwą, to, co wczoraj słyszała z ust przyjaciółki, i obydwie panie zajęły się co prędzej obmyśleniem sposobu na zaradzenie tej ogromnej niedoli. Tymczasem uprosiła Przytulisko, by swoją opieką otoczyło „cieplarnię“, i co wieczór odtąd biedacy dostawali trochę ciepłej strawy, trochę

czystej białej, aby im tę smutną noc znośniejszą uczynić. Wkrótce za pośrednictwem i z pomocą hr. Tołstojowej, otworzono 4 takie izby na nocne przytułki w czterech najbiedniejszych dzielnicach miasta, i przez pierwszy rok dobrawszy sobie jeszcze dwie panie, objeżdżała P-ni Wrotnowska co wieczór te przytułki; później wziął je oberpolicmeister zupełnie pod swoją opiekę, a wtedy P-ni Wrotnowska się cofnęła: dodano domy Zarobkowe, tanie kuchnie, ułożono i zatwierdzono ustawę dla Towarzystwa antyzebraczego, a w kilka lat później już jako poważną instytucję użyteczności publicznej, ówczesny oberpolicmeister Generał Klejgels oddał cały zarząd nad nią w ręce polskie z ks. kanonikiem Chełmickim na czele. Odtąd ta instytucja rozwija się znakomicie i doskonale prowadzona, wielkie usługi społeczeństwu oddaje. To było pierwsze dzieło P-ni Wrotnowskiej; gdy raz się puściła na tę drogę, nie zaprzestała, można powiedzieć że odgadywała jakoby najpilniejsze potrzeby społeczne: nie zniechęcała się ni-

czem gdy raz myśl jaka, ku ulżeniu jakiegokolwiek niedoli zaprzątęła jej sercem, nie żałowała pracy, chodzenie, zmęczenia, aż póki nie zajęła i nie skupiła w około siebie grona ludzi dobrej woli, których do danego dzieła zagrzała.

Tak powstało dalej „Towarzystwo Opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi“, czyli tak zwana „Maternita“, t. j. dom dla biednych kobiet, mających zostać matkami, a głównie dla kobiet o wątpliwej moralności. Zdarzało się często że matki tej kategorii, po urodzeniu dziecka, często nie mogąc, nieraz niechcąc zająć się same dziećmi, podrzucały je, albo ich się wyrzekały, nieraz te dzieci dostawały się w ręce nieodpowiednie, zaczem nie otrzymywały wychowania ani religijnego, ani też zasad moralności, i kończyło się na tem, że najczęściej te dzieci stawały się wyrzutkami społeczeństwa. Celem więc Maternity było, wpoić w matki przez 6 tygodni do 2 miesięcy pobytu ich w zakładzie poczucie obowiązku względem własnych dzieci, zrozumienie tego, że raz

zostawszy matkami, odkupieniem ich winy jest zajęcie się i zaopiekowanie własnem dzieckiem: Zakład ze swej strony, dopomagał im, wyszukiwał zacne, moralne włości-
ciańskie domy, w których biedne matki, nie mogące swych dzieci trzymać przy sobie, mogły je z całym zaufaniem umieścić, do nich dojeżdżać, i wraz z zakładem łożyć na ich utrzymanie. P-ni Wrotnowska potrafiła w tym celu zebrać dość liczne grono osób, które się zainteresowało tą ideą: w pierwszym rzędzie trzeba wymienić hr. Władysława Branickiego, jednego z tych rzadkich ludzi, którzy dla współdziałania pięknemu, chrześcijańskiemu celowi, miał zawsze serce i kieszeń otwartą; dał więc na początek okazałą sumkę. Jego żona hr. Julja Branicka została pierwszą prezesową Maternity: P-ni Julja z ks. Golitzinów Górską — przewodniczącą Rady Opiekun-
czej Towarzystwa i za jej to pomocą i nadzwyczajną zapobiegliwością, znajdowały się ciągle fundusze do prowadzenia i utrzymania tej instytucji. Maternicie P-ni Wrotnowska całą duszą się oddała, ile cza-

su, ile swej pracy tam włożyła ci tylko wiedzą, co razem z nią i przez nią zagrzani do tego dzieła się zabrali. Aż nareszcie stanęła ona na pewnym gruncie; zdobywszy mały kapitał, kupiono dom na Przytułek i powstała własna siedziba: „Tow. Opieki nad biednymi Matkami i ich Dziećmi“, przy ulicy Hożej Nr. 70. Jest tu pomieszczenie na 24 do 30-tu matek, których dziećmi po wyjściu z zakładu, towarzystwo się jeszcze moralnie i materyalnie opiekuje. Zarząd wewnętrzny zakładem powierzony jest osobom z Przytuliska; panuje tam wzorowy ład i porządek. Pani Wrotnowska miała za zasadę, żeby każde dzieło do możliwej doskonałości doprowadzić; lepiej mniej a dobrze, niż dużo a źle. Nie wszyscy podzielają to zdanie, pani Wrotnowska jednak we wszystkim co zapoczątkowała, zawsze się tą zasadą rządziła; uważała że tylko tak się kierując, można dojść z czasem do upragnionego rozwoju i pożyteczności dzieła. Ztąd pochodzi że i Maternicie nieraz zarzucano zbytek jakoby elegancyi i komfortu, a przyjrza-

szy się bliżej, przekonywano się, że ta elegancja była to tylko czystość i porządek do możliwości posunięte, wielki środek cywilizacyjny i kulturalny dla naszego społeczeństwa.

Trzecie wielkie dzieło P-ni Wrotnowskiej, było założenie lecznic bezpłatnych dla biednych chorych Warszawy, które potem złączyły się z Towarzystwem Nieuleczalnych Chorych, ale o którym to Towarzystwie jako późniejszym datą, później dopiero mówić będziemy.

W latach 1887 i 1888-mym P-ni Wrotnowska oprócz innych swych zajęć, należąc do Tow: Pań Ś-go Wincentego, często bardzo odwiedzała biednych w ich mieszkaniach. Uderzona była ilością mężczyzn i kobiet, okrytych ranami. Te rany znajdowały się czasem na całym ciele, lecz głównie na nogach, spowodowane zwykle rozszerzeniem się żył w skutek uciążliwej pracy, długiego stania przy warsztacie, czy przy praniu, lub przy innych męczących zajęciach. Te rany, naturalnie nie leczone, nie opatrywane, rozogniały się,

powiększały, często zagnieżdżało się w nich robactwo, prawdziwie straszliwy widok przedstawiały, i dochodziło do tego że stawały się z czasem nieuleczalnemi. Szpitale nie chętnie tę kategorię chorych przyjmują, wskutek czego tacy chorzy, często pozbawieni byli koniecznego, a ciągłego opatrunku. Także i dzieci z próchnieniami tuberkulicznymi kości, z ranami i zatokami, tworzącymi się przy stawach, też zaliczyć można do nieuleczalnych, gdyż tylko doskonałe powietrze, zdrowe odżywianie, higiena, mogą takim dzieciom z czasem przywrócić zdrowie, a pomiędzy naszą biedną ludnością poddaszów i suterren, czyż taka higiena jest możliwą? Tknięta tą biedą P-ni Wrotnowska szukała jakby jej skutecznie zaradzić, coby wynaleść w celu ulżenia jej? Obmyśliła sposób następujący: dobrać sobie kilka osób dobrej woli, chętnych i ofiarnych, wyuczyć je trochę pierwszych zasad chirurgii, opatrunków i z ich pomocą wziąć się do dzieła. Pierwsze dwie panie które się z nią w tym celu złączyły, były: P-nna Zofia Michałowska

i Hr. Julja Alexandrowicz. Wynajęła więc dwa małe pokoiki na Tamce 45, uprosiła doktora Friczego, żeby wziął pod swoją opiekę, i nadał swoją firmę temu małemu ambulatoryum, gdyż każdy prywatny leczniczy zakład musi być pod nazwiskiem i firmą lekarską, aby miał prawo spokojnie istnieć, zakupiła niezbędne instrumenta chirurgiczne, środki opatrunkowe, meble konieczne do pierwszej instalacyi i otworzyła „Pierwsze Ambulatoryum bezpłatne dla biednych chorych z ranami“. Ale nie dość na tem: aby módz być pożyteczną, aby módz tego rodzaju uczynek miłosierny spełniać, trzeba umieć wziąć się do rzeczy, trzeba być trochę chirurgicznie wykształconą. Uzyskała więc od znajomych jej lekarzy pozwolenie (niechętnie jeszcze wówczas udzielane) chodzenia do szpitala, by przypatrywać się operacyom, pomagać w razie potrzeby i uczyć się opatrunków. Co rano więc, widzieliśmy P-nią Wrotnowską jeżdżącą do szpitala na Pradze gdzie nareszcie wstęp jej został dozwolony i tam do 1-szej godziny asystowała lekarzom

chirurgom w ich zajęciu, zaznajamiała się, uczyła. Że jej naturze nie przywykłej do tego widoku, do tych jęków, krwi i noży chirurgicznych musiało to bardzo być przykrem, że jej nerwy silnego wstrząśnienia doznawały, zbytecznem byłoby dodawać. Przewyciężyła wszystko: widziałam ją nieraz wracającą z tych wędrówek bladą, wyczerpaną, wprost stać na nogach niemogącą ze wzruszenia, ale pragnąc koniecznie dojść do celu, przemo-gła wszystkie wstręty kobiecej, wrażliwej natury.

Nie dość na tem; chcąc się lepiej wyspecjalizować w tym kierunku i wyuczyć dokładnie pielęgnowania chorych, udała się do Wiednia, do szpitala „Rudolfiner“ i tam 6 miesięcy jako zwyczajna pielęgniarzka przebyła. Niechętnie bardzo ją tam przyjęto. Dr. Billorth, naczelny lekarz, brał to jej postanowienie za wybryk oryginalności, nie wierzył, by ta piękna, urocza dama światowa, potrafiła się nagiąć do tego co wymagane od pielęgniarzki chorych, t. j. do zmęczenia, czu-

wania po nocach, wszelkiego rodzaju posług, najniższych nawet.

— „No, niech spróbuje“, — mówił, — „kiedy tak gwałtownie tego chce, ale dłużej, jak parę dni nie wytrzyma“.

Wytrzymała 6 miesięcy i przy pożegnaniu, oddał jej Dr. Billroth sprawiedliwość, że nigdy tak poświęconej i znakomitej pielęgnowanej w swym szpitalu nie miał. Co do chorych zaś, których pielęgnowała, ci ze łzami ją żegnali: przywiązali się do niej, pokochali ją, była dla nich aniołem opiekuńczym: jej urok, serce im okazywane, wesołość jej charakteru, uśmiech czarujący, wszystko to, jak promień słońca rozgrzewało sale szpitalne i wnikało do serc biedaków. Bo i przyznać trzeba, że miała dziwny i rzadki dar natychmiastowego chwytania za serca tych biednych chorych, których odwiedzała. Jak wchodziła P-ni Wrotnowska do suteryny lub facyatki biednego, zdawało mu się, że cała izdebka mu się odrazu rozjaśnia. Opowiadała mi jedna z takich chorych, którą pierwszy raz odwiedziła,

że—przyszła do mnie jakaś Pani, piękna, wyglądała na jakąś królowę, lub anioła; usiadła przy łóżku, pogawędziła, sprzątnęła mi pokój, łóżko mi zasłała; tak była piękna, że napatrzeć jej się nie mogłam i zaraz mi się lepiej zrobiło, zaraz uczułam się zdrowszą.—To samo wrażenie wywoływała u wszystkich.

Ale wróćmy do Ambulatoryów. — Lecznica na Tamce otwarta, P-ni Wrotnowska po powrocie z Wiednia swoją nabytą tam umiejętnością dzieli się z kilku paniami, które jej pomagają, urządza kursa opatrywania rannych u siebie, wzywa kilku zacnych doktorów do wykładania teoryi samarytańskiej; coraz więcej chętnych pań na te kursy uczęszcza, i rozszerza się po trochu liczba osób opatrujących rany w lecznicy na Tamce: wkrótce coraz większa liczba chorych, nawet z chorobami wewnętrznymi przychodzą szukać porady. Jeden doktor już nie wystarcza, trzeba dobrać internistę. Znów więc P-ni Wrotnowska zgłasza się do Sióstr Miłosierdzia, aby się zapoznać z apteką i spo-

rzządzaniem lekarstw, i uczy inne panie, jak lekarstwa robić.

Tak się to pierwsze Ambulatoryum okazało potrzebne i na czasie, że po paru latach trzeba było założyć drugie, potem trzecie, a w końcu i czwarte na ul. Ogrodowej, które to jednak po roku przekształciło się na szpitalik dziecięcy i rozwija się bardzo pomyślnie pod kierunkiem Doktora Bączkiewicza, a z funduszów P-ni Karolowej Szlenkierowej. Istnieje teraz na Lesznie pod nazwą: „Szpitalik Dziecinny Dr. Bączkiewicza“. W tych trzech pierwszych lecznicach całą obsługę przy chorych, wypełniają panie i panienki, które z dobrej woli i poświęcenia się tam zgłaszają. A więc podwójny cel jest przez to osiągnięty: nietylko korzystają na tem chorzy; większą może jeszcze korzyścią jest takie ambulatorjum dla osób światowych, które obcując z tą biedą, zapoznawając się z nią, dotykalnie i zbliżka, widzą ból i nędzę swych bliźnich; widzą, że gdy one mają wszystko, opływają w zbytek i wygody, tylu a tylu

jest takich, co kawałka chleba nie mają, co o głodzie, o chłodzie, w największej nędzy pracują, a ta praca ledwo im starczy aby nie zginąć z głodu wraz z dziećmi.

Tu więc Panie znajdują pole do osobistego, dotykającego zbliżenia się do biednych, do poznania ich potrzeb, nieraz do moralnego i uszlachetniającego wpływu. Ileż to panienek, zapisawszy się początkowo do Ambulatorjów po prostu dla zabicia czasu, rozkochało się później w tem zajęciu; po wyjściu za mąż pozakładały lecznice i apteczki u siebie na wsi, co stworzyło wpływ dworu na chatę, co pewnym węzłem uczucia obowiązku i miłości chrześcijańskiej z jednej strony, a wdzięczności i uznania z drugiej, przeciwdziało może niejednej zawiści klasowej, nie jednemu nieporozumieniu. I jak tu nie przyznać, że założycielka tego dzieła miała po prostu jakieś prorocze odczucie potrzeb społecznych: ona pierwsza zaciągnęła szereg światowych pań i panien do tego zajęcia. Pamiętam, jak w owym czasie, gdy się te Ambulatorya zakładały,

cicho o tem było, kto tam uczęszczał, tak wtedy było nieprzyjęte aby Panie „z towarzystwa“ chodziły same opatrywać biedaków, same im posługiwały; wiele z nich nie przyznawało się do tego; uważano to za oryginalność, dziwiono się temu. — A przecież to treść nauki Chrystusowej: „Co tylko chcecie aby wam drudzy czynili i wy im czyńcie“. „Coście uczynili najmniejszemu z braci moich, mnieście uczynili“. Jak byłem chory, nie odwiedziliście mnie“; opuszczenia z których ścisły rachunek zdać nam przyjdzie.

Od czasu, gdy pierwsze Ambulatorya P-ni Wrotnowska zakładała, zmieniły się na szczęście pojęcia pod tym względem. Mnóstwo Pań i Panien ze wszystkich sfer garnie się do obsługi chorych przy szpitalach, ambulatoryach, lecznicach, ale zasługa tego zbawiennego prądu zostanie zawsze przy P-ni Wrotnowskiej, gdyż ona pierwsza inicjatywę i impuls do tego dała. Pierwsze Ambulatoryum na Tamce otwarte zostało w r. 1889: we wszystkich tych lecznicach infirmerkami są osoby z Przy-

tuliska, co już jest rękojmią, że w nich panuje ład, porządek i wzorowa czystość.

W założeniu Pogotowia Ratunkowego przez hr. Konstantego Przeździeckiego, P-ni Wrotnowska wzięła też bardzo czynny udział. Długo się hr. Przeździecki nosił z tą myślą; będąc częstym u niej gościem zwierzał się przed nią ze swoich zamiarów, i kto wie czy te zamiary, długo jeszcze nie byłyby zostały tylko projektami, gdyby nie zapał i energia P-ni Wrotnowskiej. Ona to z Wiednia sprowadziła tamtejszego inicjatora i założyciela Pogotowia Dr. Vragassy'ego: ona, mając bardzo rozległe stosunki we wszystkich sferach, zainteresowała tą sprawą kilku lekarzy: początkowe konferencye i omawianie tego projektu u niej się odbywały; nareszcie zwołano posiedzenie inauguracyjne, liczne podpisy zostały zebrane, i hr. Przeździecki, jako założyciel, mógł rozpocząć tę pożyteczną działalność, ofiarą i sprowadzeniem z zagranicy karetek, wozów, narzędzi chirurgicznych, wszystkiego, co potrzeba do instalacji pierwszej stacji Po-

gotowia Ratunkowego w Warszawie. Przez 3 lata jeszcze po założeniu należała P-ni Wrotnowska do Zarządu, czynnie się zajmując początkującą instytucją. Jak była potrzebną pokazuje się teraz, kiedy Pogotowie tak zrosło z życiem społecznem Warszawy, że już bez niego, naszej stolicy wyobrazić sobie nie możemy.

Ostatniem dziełem P-ni Wrotnowskiej w dziedzinie filantropijnej było założenie Towarzystwa Nieuleczalnych Chorych. To jej ostatnie, ukochane dziecko było pewno tem co ją najwięcej pracy, energii i poświęcenia kosztowało. Od dawna już nurtowała ją myśl zrobienia czegoś, coby ulżyło strasznej doli chorych na raka i na nieuleczalne rany; wiedziała, jak okropne jest położenie biednych, dotkniętych temi chorobami, jak w ciasnem mieszkaniu, w jednym pokoiku, suterynie lub poddaszu, leży taka biedaczka, całemi dniami sama, gdy towarzysze izby wyszli za pracę; niema kto by jej usłużył, szklanekę wody podał. Rak, ma własność tę okropną, że zatruwa powietrze naokoło siebie, a bo-

leści są najokropniejsze; zwykle od takiej chorej kaźden ucieka, by nie oddychać tem zepsutem powietrzem; można sobie łatwo wyobrazić co za opłakane położenie takiej nieszczęśliwej, gdy się w jej otoczeniu nie znajdzie jaka dobra, miłosierna dusza, któraby się nią zaopiekowała; jest ona prawdziwie, jakby jaka zapowietrzona, trędowata, postrachem dla ludzi.

Okoliczność pewna dodała jeszcze bodźca P-ni Wrotnowskiej do zaczęcia swego dzieła.—W owym czasie, około roku 1893, siadywała często na schodach Ś-go Krzyża pewna żebraczka z najstraszniejszym lupusem twarzy; oczy zaczerwienione, powieki opuszczone, nosa prawie nie było, usta i wargi wygniłe, a cała twarz jedna krwawa rana. Budziła wstręt i obrzydzenie nawet wśród sąsiadów żebraków, którzy jej nie szczędzili przykrych słów i wymyślań. Przychodziła wtedy stale do Ś-go Krzyża znana filantropka, zwana jałmużniczką Warszawy hr. Augustowa Potocka. Nie trudno jej było zauważyć żebraczkę. Pani Augustowa, tknięta litością

postanowiła coś dla niej uczynić i oddalić ją od tego ludnego centrum, gdzie wszystkich uwagę zwracała. Zawezwwała więc do siebie P-nią Wrotnowską, obiecała płacić jej 25 rubli miesięcznie na wyszukanie jej jakiego schronienia, skąd by już niepotrzebowała chodzić po żebranych chlebie. P-ni Wrotnowska z radością podjęła się tej missyi i z właściwą sobie inicjatywą i pomysłowością następującą wynalazła kombinację.

Przy istniejącem już od paru lat Ambulatoryum na Tamce wynajęła jeden przylegający pokój i umieściła tam ową żebraczkę Lenkiewicz. Opiekę nad nią miała zapewnioną w osobie infirmerki, zawiadującej lecznicą; bardzo niedługo potem przyłączyła się do Lenkiewiczowej druga podobna chora, protegowana przez P-nę Zofię Górską i otóż pierwszy przytułek dla nieuleczalnych zaczął istnieć, w tak biednych i skromnych rozmiarach: zwykle taki bywa początek wielkich dzieł miłosierdzia. Niestrudzona P-ni Wrotnowska widząc, że początek choć malutki, ale

już istnieje, zapragnęła go rozszerzyć. Należało napisać ustawę, dać ją do zatwierdzenia, co w owym czasie długo się ciągnęło i nie mało zachodu potrzebowało; trzeba też się było rozejrzeć, nauczyć, jak takie dzieło najlepiej zorganizować, na jakich zasadach, w jakich warunkach i t. d. U nas w kraju podobnego Zakładu nie było; w Paryżu zaś istniał Zakład wzorowo prowadzony „Les Dames du Calvaire“ specjalnie tylko tej kategorii chorych poświęcony. — P-ni Wrotnowska zawsze była osobą natychmiastowych postanowień: nie namyślając się więc długo, pojechała do Paryża, aby się przyjrzeć osobiście tamtejszej pracy, i zaznajomić z organizacją. Widzimy ją więc już drugi raz przypasującą fartuch biały i czepek infirmierki, i zamykającą się w tym szpitalu na 3 miesiące, gdzie znów wszystkie opatrunki i posługi przy chorych spełnia: tak, jak kilka lat temu w Wiedniu tak i teraz gorliwość jej i poświęcenie przy chorych nie zna granic. Zapoznawszy się dokładnie z całym urzą-

dzeniem i organizacją szpitala, wyuczywszy się wszystkiego, co do urządzenia podobnego przytułku w Warszawie może być potrzebne, wróciła P-ni Wrotnowska do Warszawy z planem już gotowym i pewna swego.

Teraz chodziło tylko o to, aby zebrać potrzebne fundusze i zacząć dzieło. Zainteresowała tym projektem kilkanaście osób zamożniejszych, znanych ze swej ofiarności. W pierwszym rzędzie wyliczyć trzeba hr. Janinę Konstantową Potocką, która została pierwszą Prezesową Towarzystwa, P. Ludwika Górskiego, który na początek ofiarę złożył, i do samej śmierci interesował się i pomagał towarzystwu, kilka innych osób jeszcze, które znaczniejsze datki złożyły; tym sposobem zebrano mały kapitalik, za pomocą którego można było rozpocząć zamierzone dzieło. Udało się P-ni Wrotnowskiej odnajdąć od Maternity mały drewniany domek na Wspólnej Nr. 69, bardzo skromny, bardzo biedny, ale dostateczny by w nim urządzić szpitalik na 12 łóżek i pomieścić się

tam wraz z dozorczynią i potrzebną usługą. W r. 1893 Przytułek dla Rakowatych został otwarty pod protektoratem znanego z gorącego serca w niesieniu pomocy cierpiącej ludności dr. Br. Chrostowskiego; od razu znalazło się 12 chorych przeważnie z rakiem, a paru z nich z ciężkimi, nieuleczalnymi ranami i znów Przytulisko objęło w nim zarząd gospodarczy. Pamiętam, jak miłe były te pierwsze początki Przytułku. Biedne, ale czyściutko, schludnie, ściany na biało pomalowane, panie protektorki często bardzo zaglądały, odwiedzając chorych, czytywały im i rozmawiały z nimi. Między najczęstszymi gośćmi na Wspólnej były nieżyjące już dwie siostry, obydwie wtedy młodziutkie panienki, P-na Zofia Gór-ska i jej siostra Julia, późniejsza P-ni Michałowa Karska; obydwie piękne, dobre, z sercem tak wrażliwym na cudzą niedolę, prawdziwie nie ziemskie zjawiska; za dobre, za wzniosłe na ten świat, skąd je też Bóg w pełni młodości i urody zabrał. Każde ukazanie się tych sióstr w tym

przytułku straszego cierpienia było rozradowaniem, promieniem z jasnego nieba dla tych nieszczęśliwych; a były pomiędzy nimi straszne swoim samym wyglądem. Jedna z nich Piotrowska miała całą twarz łożoną przez raka, cała szczęka obnażona, bez ciała, strzępy krwawe tylko wisiały, zamiast nosa krwawa jama; okropny, przejmujący widok. Druga, z rakiem piersi, tak rozgałęzionym, że cała ręka, bok, szyja, już były nim zajęte. Wyliczyć trudno straszne okazy ludzkiej niedoli, które się w takim przytułku rakowatych znajdują. Po kilku latach istnienia tego Przytułku na Wspólnej, umarła P-ni Augustowa Potocka, ze spadku po niej pozostałego egzekutorowie testamentu przeznaczyci 20,000 rubli na nieuleczalnych, a prawie równocześnie hr. Zygmunt Pusłowski ofiarował Towarzystwu dom z ładnym kościołkiem, położony za Mokotowem, przylegający do pięknej posesji pałacem należącej obecnie do hr. Marty Krasińskiej, zwanej Królikarnią. Ten dom z kościołkiem jest fundacją

hr. Ksawerego i Julii z ks. Lubeckich Pusłowskich, nazwany Królikarnią B. i ten dom w skutek hojności rodziny Pusłowskich przeszedł na własność Tow. Nieuleczalnych Chorych miasta Warszawy. Po zrestaurowaniu długo niezamieszkałego i zaniedbanego budynku, tam więc przeniesiono chorych, meble i urządzenie ze Wspólnej, i tam znajduje się obecnie siedziba rakowatych i nieuleczalnych z ranami. Naturalnie liczbę łóżek znacznie powiększono, bo do 40-tu, kościołek uporządkowano, P-ni Wrotnowska postarała się o kapelana i od tej pory codziennie Msze św. są tam odprawiane. Trzeba dodać, że piękne i bogate kielichy, monstrancye i aparaty kościelne są także darem hr. Pusłowskich. To było ostatnie dzieło, które zawdzięcza swój byt inicjatywie, energij, silnej woli, a gorącemu sercu P-ni Wrotnowskiej; do końca życia się niem zajmowała, najprzód czynnie, a potem, gdy już stargane zdrowie, różne nieszczęścia moralne i materyalne na nią cios po ciosie spadały, jak to zobaczymy

w dalszym ciągu opowiadania, myślą, pamięcią, całym sercem interesowała się zawsze tem ukochanem dziełem.

Wróćmy jednak trochę wstecz i przyjrzyjmy się osobistemu życiu P-ni Wrotnowskiej podczas tej piętnastoletniej działalności jej filantropijnej, którąśmy już poznali. Przez ten czas żadne smutki oszczędzone jej nie były; kolejno chowała najbliższe jej istoty, najukochańszą siostrę Stefanię Chłędowską, żonę późniejszego ministra dla Galicyi w Wiedniu, autora „Sienny“, „Dworu w Ferrarze“ it.d., która umarła na jej ręku w r. 1884, a której straty nigdy nie przeboleła, nawet po śmierci chciała być pochowaną z jej fotografią na sercu. Potem ojca, matkę, jedyne pozostałego brata, a w końcu siostrę Amelję Czarnowską. Z tak licznej i kochającej się rodziny, została sama. Głęboka wiara nie opuszczała jej jednak nigdy, nie zachwiała się wśród przeciwności, ciężkich przejść i bolesnych krzyżów; nie narzekała; z twarzą zawsze pogodną i uśmiechem na ustach, kryjąc

ból swój w głębi serca, szła dalej przez życie, i niktby się nie domyślił widząc ją zawsze wesołą i uśmiechniętą, że już tyle przeboleła, tylu ukochanych potraciła.

Mieszkała stale w Warszawie, najprzód na Królewskiej, później w pałacu Krasin-skich na Krak.-Przedm., ale, gdy mąż jej mecenas Wrotnowski odkupił rodzinny jej majątek Dłutowo, parę lat tam wtedy spędziła; radowała się bardzo, że ten rodzinny szmat ziemi, wrócił się w ich posiadanie, i wtedy na wsi, u siebie, zabrała się do pracy nad ludem. Otworzyła w ogrodzie pałacowym rodzaj lecznicy dla chorych okolicznych włościan, nazwała to apteczką, i co dzień od 9-ej do 1-ej spędziła tam długie godziny, opatrując rany i okaleczenia, rozdając lekarstwa, udzielając porad chorym, którzy z dalekich stron nawet do niej ściągali. Prowadziła tam życie nadzwyczaj czynne, zawsze rano wstając, do 9-ej gospodarstwem była zajęta, a ponieważ służby miała mało, sama w najdrobniejsze szczegóły wchodziła. Lubiła bardzo młodzież i otaczała

się nią chętnie, zwykle więc miała u siebie jedną z siostrzenic lub inne znajome panienki; spraszała okolicznych sąsiadów i popołudniowe godziny bywały poświęcone dalekim spacerom, zabawom w ogrodzie, muzyce, śpiewom, komedyjkom amatorskim. Oczywiście do tak miłego, ożywionego domu garnęli się chętnie wszyscy, i każdy z żalem opuszczał gościnne Dłutowo. P-ni Wrotnowska jeździła też parę razy zagranicę, do wód, a będąc w Wiesbaden z synem Stanisławem poznała się tam z holenderską rodziną Calcoën von Limmen. Niebawem młody Stanisław zakochał się w pełnej wdzięku córce Pp. Calcoën, miłość była wzajemna, i wkrótce odbył się ślub młodej pary, która powróciwszy do kraju, osiadła w majątku matki Dłutowie. Wtedy P-ni Wrotnowska zamieszkała na powrót w Warszawie, gdzie już do śmierci męża, stale bawiła.



III.

W roku 1901 zamyka się epoka czynnej działalności filantropijnej i społecznej Maryi Wrotnowskiej. Mając głównie tę działalność zmarłej na względzie, obawiam się czym się nie obeszła z nią nieco bezwzględnie — czym nie oświetliła jej zbyt jednostronnie.

Niema jednolitych ludzi, niema zwłaszcza jednolitych kobiet, a któż ze znajomych P-ni Wrotnowskiej nie pomni jej wybitnie złożonej, różnorodnej, przebogatej natury. Wtem tkwił cały urok i nieporównana żywotność tej postaci.

Nadmieniałam już niejednokrotnie o jej wdzięku: polegał on głównie na niefrasobliwej wesołości, oraz niezwalczonym optymizmie. Natura P-ni Wrotnowskiej była na wskroś wierząca — nie znała wątpliwości ni wahań, przez co nieznanym jej dobrze i niewtajemniczonym ludziom

mogła się nieraz wydawać mało przezorną, nierozważną, a nawet płochą i pustą istotą, śmiejącą się prosto w twarz życiu, ludziom, wypadkom. Swoboda i wesołość tryskały z niej, jak młodość, jak samo życie, jak tryska szczęście, nie znające jeszcze zawodu, a to pomimo tylu strat w rodzinie; a tryskały one w każdym słowie, w kaskadach udzielającego się śmiechu, z pod sobolowych brwi jej ciemnych oczu.

Dla mnie była ona uosobieniem nieprzebranego, wiecznie bijącego źródła, krzepiących sił życiowych; te siły wypływały z jej wiary głębokiej a żywej. Każde nowe nieszczęście przyjmowała z ręki Boga, nie szemrała nigdy:—„Cóż robić“—było za wsze jej ulubionem wyrażeniem, jak poradzić na zło nie widziała sposobu; a te „cóż robić“ nie było w jej ustach tem fatalistycznym, zniechęconem wyrażeniem, którem się ratują często, mniej zahartowane dusze, mówiła to w przeświadczeniu, że taka wola Boża, a że co Bóg zsyła trzeba przyjmować z pokorą i poddaniem. — A przytem ani słowa o tem, co

stanowiło dla niej istotną treść życia — ani słowa o niezmordowanej pracy, która wypełniała ranne godziny dnia, o tem co było wcieleniem najgorętszych potrzeb jej czynnego serca.

P-ni Wrotnowska posiadała śliczną i wprost bezprzykładną dyskrecyę swej najgłębszej wartości. Niepytana nie wtrącała nigdy do rozmowy ani jednego słowa, mogącego zdradzić jej ranne zajęcia, przedłużane nieraz do późnego popołudnia. Nikt jej nie słyszał nigdy narzekającej na zmęczenie. A jednak tym właśnie godzinom rannych zajęć i trudu, zawdzięcza dzisiejsza Warszawa powstanie tylu najpożyteczniejszych dobroczynnych instytucyi i zakładów.

Jeżeli zważymy dalej, iż łatwiej jest spełnić dobry uczynek, niż go zamilczeć — że łatwiej o heroiczne cnoty, niż o codzienną miłą pogodę usposobienia, o równą, odważną wesołość, tak bezcenne we współżyciu z bliźniemi i dla bliźnich, to przyjdziemy do przekonania, że Marya

Wrotnowska dziwnie bliską była ideału Ś-go Franciszka Salezego, który zaleca „by cnotę uczynić godną kochania“.

Co zaś do fizycznego jej wyglądu, wypada zaznaczyć, że przy niezwykłym wzroście, silnie w ostatnich latach rozwinięta tusza zmieniła zgoła zewnętrzny charakter jej postaci. Teraz zaczęły się walić na nią najdotkliwsze nieszczęścia i można śmiało powiedzieć, że te ostatnie lata jej życia, były pasmem męczeństwa, znoszonym z taką odwagą, z takim nadludzkim spokojem, poddaniem się woli Bożej, z taką siłą ducha, że prawdziwie nie można to nazwać inaczej, jak heroizmem. Opowiadając o jej ostatnich latach, o jej ciężkich przejściach, pobieżnie tylko mogę dotknąć niektórych; zbyt świeża to jeszcze mogiła, abym mogła wdawać się w szczegóły i odcienia; szerokimi rysami tylko opowiem zdarzenia ostatnich lat, a co przecierpiała, co przeboleła, co w głębi duszy jej się działo, to zostanie chyba na zawsze tajemnicą pomiędzy nią a Bogiem.

W końcu roku 1901, jeszcze w Warsza-

wie, w swoim mieszkaniu, w pałacu Kra-
sińskich, dostała skrzepu w nodze. Wie-
dząc, że w tej chorobie nigdy pewnym ży-
cia się nie jest, i że koniec przyjść może
każdej chwili, przygotowała się na śmierć,
przyjęła Sakramenta św., ostatnie olejem
namaszczenie i potem spokojna, pojedna-
na z Bogiem, gotowa na wszystko, parę
miesiący przeleżała bez ruchu; znajomych
swoich jednak widując i przyjmując, jak
dawniej. Na Boże Narodzenie, gdy stan
jej się trochę polepszył, pojechała do Dłu-
towa, do dzieci, gdzie już dwoje wnucząt
ją oczekiwało.

Od tej chwili nigdy już więcej mieszka-
nia swego w Warszawie nie ujrzała. W lu-
tym 1902 roku nagle zakończył życie jej
mąż, mecenas Lucyan Wrotnowski. Była
to straszna katastrofa jej życia: nietylko
traciła w nim męża, opiekuna i przyja-
ciela, ale równocześnie z jego śmiercią,
znalazła się bez środków do życia.

Zaraz po śmierci męża, przekonano się,
że mecenas Wrotnowski był kompletnie
zrujnowany, że z dużego majątku nie zo-

stało nic ,oprócz długów. Nikt w najbliższem otoczeniu nie domyślał się nawet, w jakim stanie były interesa ś. p. Wrotnowskiego, ani żona, ani synowie; z dnia na dzień położenie ich materyalne zmieniło się najzupełniej. Wyobrazić sobie łatwo, jakie były uczucia pani Wrotnowskiej, gdy takie ciosy moralne i materyalne naraz na nią spadły. Równocześnie starszy jej wnuczek, Władzio, 3-letni chłopczyk zachorował ciężko: przez dwa tygodnie był między życiem a śmiercią; operacja okazała się konieczną. Równocześnie z pogrzebem mecenasa Wrotnowskiego w Dłutowie, sprowadzeni z Warszawy lekarze, dokonywali operacyi na beznadziejnie chorym dziecku, jedyną pociechą i szczęściem ciężko dotkniętych rodziców i babki. Bóg się zmiłował, uratował życie dziecku, a pani Wrotnowska, niepomna innych trosk, Bogu tylko dziękowała za to ocalone życie. Ledwie dziecko zaczęło wracać do zdrowia, ona sama zaniemogła ciężko na serce; jak sama potem opowiadała, te ataki były straszne i

skrzep, kilkakrotnie przechodzący przez serce, sprawiał takie bóle, takie uczucia zaprzestania życia, że było to jedno ciągle konanie; pewną też była, że takich ataków więcej nie przetrzyma; parę razy z najżywszemi uczuciami wiary przygotowywała się na śmierć. Ale widać, godzina jej nie nadeszła, miała żyć i cierpieć jeszcze sześć lat.

Zacząło się teraz dla niej codzienne borykanie się z trudnościami: oczywiście załatwieniem interesów zajęli się najlepsi jej synowie; ukrywali nawet przed nią trudności, których coraz więcej się gromadziło, gdyż jej zdrowie wymagało wypoczynku i spokoju zupełnego; ona jednak sercem macierzyńskim odczuwała wszystko, domyślała się tego, czego jej powiedzieć nie chciano, bolała w cichości, lecz nigdy żadna skarga, ani na los, ani na ludzi, nie przeszła jej ust, przeciwnie, sercem, przepelnionem wdzięcznością, dziękowała za dowody serca, za najmniejszą, jej oddaną przysługę. Mówiła, że nie przypuszczała nigdy, że tylu jest dobrych, szla-

chetnych ludzi na świecie, że dziękuje Bogu za te nieszczęścia, które jej wykażały, że są zacne serca, o czem w czasach swej pomyślności nieraz wątpiła. Dość, że jej dusza, pod obuchem nieszczęścia, piękniała, szlachetniała, otwierała się coraz więcej dla drugich, zapominała coraz więcej o sobie, i, zamiast goryczy, wdzięczność tylko czuła ku Bogu, że stworzył ludzi lepszych, niż ich dotąd być sądziła. Swobody swej, naturalności, nie zatraciła nigdy. Ona to, pomimo różnorodnych trosk, zawsze rozweselała drugich i otoczenie.

W dalszym ciągu i dla lepszej charakterystyki pani Wrotnowskiej, jako ilustracye tej cudownej swobody i siły woli, które ją cechowały, pozwolę sobie przytoczyć kilka urywków korespondencyi z ostatniej epoki jej życia, a więc najcięższej, bo wśród trosk o los synów, o spłatę długów, i w początkach jej—tak zmienionego pod względem materyalnym, życia.

Dłutów. Marzec, 1902.

Droga moja, jak ci dziękować za twój dobry, kochany list; dawno nie miałam tak miłego wieczoru, jak dzisiaj, kiedy czytam i odczytuję twój list. Memoryał wyślę temi dniami wprost do p. Ludwika G. Umrę spokojniej, jak on się sprawą nieuleczalnych zajmie, bo on zbyt seryo myśli o losie biednych, żeby ich miał opuścić. Jakżebym się cieszyła na twój przyjazd! Ale teraz byłoby to zbyt ryzykowne. Drogi straszne, prawie nie do przebycia, i niepogoda gorsza, niż w ziemi. Mam także strach, żebyś mnie poznała — choroba zmieniła mnie, jestem jakaś czarna i zmarszczona, obcięłam sobie włosy (do trumny) i podobniusięka jestem do starego, zmęczonego druciarza. Ale przyjaźń nasza potrafi i tę próbę przetrzymać. Ze zdrowiem moim chyba nie świetnie, bo nogi posłuszeństwa odmawiają. Chodzić zupełnie nie mogę. Leżę całymi dniami, rozkoszując się wnukami. Do widzenia złoto moje.

A w parę miesięcy później, w odpowiedzi na smutny list innej przyjaciółki:

Dłutów. Maj, 902.

„Moja złota, nie poddawaj się... Biedy są — i nieszczęścia będą, jak były! często prawie nad siły ludzkie. Ale od czegoś modlitwa i wiara? (i to ja, *bezbożnica*, tak piszę?). Tutaj mam kłopot; bobusie dostały influenzy, niańka zachorowała ciężko, doktor daleko; mimo tego dajemy sobie rady. Rachuj, że jestem do tego kaleką prawie — bo z chodzeniem coraz gorzej — że serce chore, i nieraz zateśknąć musi, za tem, czego już niema; ale jakoś idzie się dalej! *Aby dalej!*... Cemu ciebie dziwi moja miłość do ciebie? Jest ona dawna — stara — a teraz połączone z uczuciem głębokiej wdzięczności... Więc, droga i kochana, wierzaj mi, że serce moje wezbrane jest dla ciebie silnem uczuciem, które chyba nie skończy się przed śmiercią.

Ciesz się, że Monsignor (Ludwik

G.), zadowolony z memoriału (o nieuleczalnych) może też coś dla nich zrobić. Tysiąc serdeczności; moja droga, proszę nie być smutną!“

Dłutów. Marzec, 903

„Moja droga, jutro jest dzień naszego Święta Ran Chrystusowych. Dziwnie mi przykro, że daleko od was jestem, że nie widzę i prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę i nie pomodłę się w naszej kaplicy Ś-go Krzyża. Prawda, że straciłam już prawo do członkostwa, że z działającej przeszłam na „cierpiącą“ i że teraz jedyłą moją pracą dla nieuleczalnych, jedyłnem uczuciem, musi być tylko poddanie. Napisz mi, czyście się licznie zebrały na Mszy św. za zmarłych członków? Od czasu, jak i ja miałam być w ich liczbie, bardzo mi chodzi o ową Mszę św. żałobną. Moja droga, kochana, czekam na ciebie z upragnieniem i tęsknotą. Czy ciebie zła kucharka nie odstraszy? To mój kłopot wielki. A nie zapomnij pomodlić się za mnie. Twoja“.

Dłutów. Listopad, 903.

„Moja najdroższa, tylko nigdy nie płacz przy moich listach, bo „leż szkoda“, szczególnie na mnie. A ty, złota, ocierać je innym potrafisz, więc oszczędzaj swoich. O śmierci synka p. L. wiedziałam ze *Słowa*. Widziałam go u ciebie w chwili ważnej, kiedy mu pierwszy raz majteczki białe nałożono. Ten ładny snop kudłatych, jasnych włosków, nad bardzo tłustą, białą buzią, pamiętam — jak dzisiaj. A dziecko to mogło być tak szczęśliwe! Czemu to?.. więc znów pytanie odwieczne! Czemu żyją niepotrzebni, chorzy, starzy, mecenasowe i inni? — a te stworzenia, tak miłe, znikają? Ale, jak pisze Biblia: „Bóg wie,—Bóg Panem!“ Czytuję Biblię, bo cała jestem jej czytaniem przejęta. Jak Ojciec Krüger po debakli — tak i ja siedzę i czytam Biblię godzinami. Oboje pocieszamy się, jak możemy. A pociecha to wielka, bo opisy wspaniałe, wielkość olśniewająca, i coś przepotężnego, kojącego. Śmiałam się z twojej propozycji,

abym do Warszawy przyjechała. Czy wiesz, że na samą myśl, abym na siebie mogła wydać pięć rubli, poprostu truchleję. A zresztą, coby Wojtuś bez swojej kochanej Baby zrobił: ona go myje, nosek mu obciera, i figle wyprawia. Nie pozwoliby na wyjazd. Ściskam i całuję“.

Dłutów. Grudzień, 903.

I tak, moja droga, N. i ja — obydwie zostałyśmy wdowami. Jakoś mi dziwnie, że i ona musi teraz sama przechodzić życie, nie czując tego coś, co podpira, podtrzymuje, tej opieki, bez której się ma dziwne uczucie. Czy nie zdaje jej się, że się usunął kij, na którym oprzeć się, bądź co bądź, mogła — i że chwyta rękami powietrze, szukając tego czegoś! To całą nam istotę z równowagi wyprowadza na długo. Święta się zbliżają, ciężkie i smutne dla nas, dla mnie pełne tęsknoty za nieobecniemi. Kończąc rok, jakoś ciężko mi się robi na sercu: tak głupio boję się tego, nowego, rozpoczynającego się, który nie wiem, co przyniesie. Ten co prze-

szedł, był jeszcze, jak na mnie, łaskaw. Wrócił mi trochę zdrowia, byłam wśród tych, których tak kocham, i ty do mnie zajrzałaś; byłam w Dłutowie, które tak całym sercem lubię. A kto wie, czy 904-go będę i ten dach miała nad głową, czy nie trzeba będzie gdzieś tułać się, rozpoczynać nowe życie, mnie — starej! Stach wczoraj wyjechał. Biedny chłopiec, jak on dzielnie stawia czoło kłopotom, nie poddaje się zniechęceniu, nie pokazuje po sobie niepokoju. Życzeń noworocznych ci nie przesałam bo jak rok długi, ciągle nie przestaję myślał życzyć ci wszystkiego. Ach! droga, masz jeszcze trochę szczęścia przed sobą, możesz, będąc niezależną, tyle dobrego robić, tyle pociechy koło siebie nieszczęśliwym przynieść; a to tyle znaczy — to cel — i tak piękny, wzniosły cel.

Dłutów. Luty, 904.

Droga moja, czy też zaczynasz już trochę chodzić i poruszać się z kanapki? Nie raz myślałam, jak to ja cierpiałam, jak ból fi-

zyczny brał nieraz górę nad bólem moralnym, i cierpię na myśl, że ty przez coś podobnego przejść byś mogła. Obecnie jestem stosunkowo zdrowsza, i czemu się zdziwisz, ale to bardzo — *że już umierać mi się niechce*. Do tego uczucia przyczynia się wojna rosyjsko - japońska. Ty tak obojętnie o niej piszesz, mówisz! O zmniejszeniu dochodów — nic więcej — a my tutaj, w Dłutowie, żyjemy w *gorączce!* Prawda, że osobiście nie boję się o zmniejszenie dochodu (nie mając żadnego), ale za to ile energii, nadziei, ognia wlewam w otoczenie, z jakim zapałem pożeram gazety. Mam wprawdzie dwie dusze, przed którymi wulkan serca wylewam: proboszcza, wielkiego polityka, i starego krawca, ex-powstańca. Żebyś nas słyszała! Zmieniamy postać Europy — floty wysadzamy w powietrze, sypimy prorocstwa i t. d. i t. d.. Z proboszczem, przy herbatce, czas prędzej mija wśród tej walki; a krawiec prędzej szyje spodenki Wojtusia — kierując ze mną Europę. Kiedyż, którego dnia, wypada w tym

roku nasza Msza św. nieuleczalnych? Kto ją urządzi? w jakim kościele? Tak pragnę choć myśla być z wami. Ciekawa rzecz, czy sprzedaż Dłutowa będzie możliwą teraz, kiedy wojna wielkie kapitały pochłania? Do widzenia, złota. Napisz, czy mnie masz za waryatkę?“

Dłutów. Marzec, 904.

„Moja najdroższa! Pocieszył mnie bardzo twój list. żebyś była dobra, tobyś mi pisała o nieuleczalnych jak najwięcej. Nie mogę w sobie zagłuszyć tego głosu, który mnie szeptem jakieś słowa nadziei, pewnie zwodnicze — że jeszcze za życia zobaczę Królikarnię, że się jeszcze w tym pięknym kościele modlić będę. Byłam niepiśmienna przez te kilka dni, 8-go i 12-go marca są rocznicami śmierci obudwu moich sióstr, więc rozumiesz, jakie usposobienie było moje — bo to chociaż tak jest dawno, zawsze tak samo boli. Dłutowo przez parę dni wrzało niebywałym życiem. Biskupi nakazali proboszczom mieć po kościołach rekolekcyje dla ludu.

Lud, skoro się o „czytaniach“ dowiedział, zaczął się cisnąć do kościoła. Tłok był wielki, i taka pobożność, żarliwość biedaków, że nawet księży porwało. U nas pięknie się to odbywało: kazania, modlitwy, wystawienie Najśw. Sakramentu. Mnie zachwycaly wyrazy twarzy tych, którzy z tak gorącą wiarą słuchali słów rozmyślenia. Jak oni, biedacy, potrzebuja oświaty i jakiegokolwiek nauki, jak czują ciemnotę swoją. Oczy ich, z natężeniem wlepione w ambonę, zdawały się modlić o światło.

Dłutów. Marzec, 904.

Znów choruję, znów powróciło się owe zapalenie żył, to cierpienie bardzo demoralizuje; mnie bardziej może, od innych, bo się boję o Wojtusia, który jest na mojej odpowiedzialności. Wzięłam na odwagę i napisałam do Stacha, by przyjechał. Przykro mi to bo wiem, że skutkiem wojny interesa mu się płaczą, do niczego z cem dojść nie może. Ale te cudne boby muszą iść przed wszystkim, bo są to

pierwsze numera w życiu. Młodość jest przepiękna — miło na nią patrzeć, gdy już osobiście nie wiele z niej pozostało. Mrozy ciągle mamy — ale mnie rozgrzewa polityka: gazety wydzieramy sobie wszyscy — młodzi i starzy, i nic dziwnego, bo tak ciekawych czasów nie pamiętam: Opisy bronii, kartaczownic terażniejszych, ran i śmierci skutkiem ran, są przestraszające. Rozum ludzki i wynalazki skierowane do niszczenia i burzenia wszystkiego, co ludzkie, są bardzo oburzające w zastosowaniu. Nieraz, w zapale czytania, wydaję okrzyki, na które służące wpadają, myśląc, że się co złego ze mną stało. Ja się śmieję z ich oczów wystraszonych i tłumaczę im, że to zapał polityczny.

O, tak, musimy jeszcze pożyć parę lat, moja droga; toż to czasy zbyt ciekawe, zbyt piękne, żebyśmy im się z nieba przyglądały, z którego patrzeć na przygnębienie tych, których nie kochamy, nie ładnie.

Dzisiejsza poczta przyniosła takie wiadomości, że moje stare serce aż tańczyło

ze szczęścia. La réalité a surpassé tout ce que nous pouvions éesperer. Prorokini Deborah, za którą ja się mam w obecnej chwili, przepowiada coraz głośniej i śpiewa z Dawidem: „Albowiem ujrzysz pomstę nad grzesznemi, i to niedługo“. Ach! żeby pewna grupa ludzi zrozumieć chciała. Ściskam serdecznie“.

Widzimy z tych listów, jak żywo, jak gorąco pani Wrotnowska interesowała się sprawami kraju, wojny, tem wszystkim, w czem upatrywała jakieś, wyniknąć mające dobro, jakąś korzyść dla umiłowanej ojczyzny. Nigdy jej dusza wrażliwa, jej gorące serce, nie zubożyło na dobro publiczne, na sprawy społeczne, przejmowała się niemi, jak 20-letnia panienska, zapominała o własnych troskach, o dolegliwych cierpieniach, których w tym czasie tyle doznawała i to usposobienie zachowała do końca życia. Umysł jej zawsze równie żywy, pomimo choroby, interesował się każdym postępek, każdym wynalazkiem naukowym, śledził wszystko z wielkiem zajęciem. Syn jej młodszy,

Franciszek, skończony chemik, uzyskał był rok przedtem posadę dyrektora-technika w Sławiańsku, w głębi Rosyi, w fabryce terrakoty „Dziewulski i Lange“. Tak kochająca matka, jaką była pani Wrotnowska, bolała bardzo nad tem oddaleniem i osamotnieniem syna w odległej charkowskiej gubernii. Czując się trochę lepiej na zdrowiu, postanowiła podzielić pracowite życie syna i osłodzić mu to wygnanie w dalekich stronach, tembardziej, że syn, stęskniony do swoich, wzywał obecności matki; wybrała się więc do Sławiańska, i wtedy pierwszy raz zobaczyła Warszawę, od czasu swego wdowieństwa i zmienionych warunków życiowych.

Odwiedziła ukochane, przez nią założone instytucje; najsampierw najdroższą Królikarnię, Maternitę, ambulatoryja; odwiedziła kilku wiernych jej przyjaciół i puściła się w daleką drogę, na jak długo, nie wiedziała. Parę listów, pisanych stamtąd do warszawskich przyjaciół, najlepszym znów będą opisem jej życia na tem wygnaniu.

Sławiańsk. Październik, 904.

„Już podobno trzeci tydzień się zaczyna, jak jestem u Franza. Pytasz się w twoim liście, jak sobie życie urządzamy? Otóż mieszkamy w małym domeczku, oczyszczony dom stróża, dwa pokoje, małe izdebki; czysto bielone ściany, kilka mebelków, kilka garnków chłopskich i ręczników kolorowych, jako ozdoba. Z jednej strony widok olbrzymiej fabryki, z drugiej pustkowie, pełne dołów, piasku, i zielska olbrzymie. Z jednej strony słyhać ciągły huk roboty, prasy — nawoływania — pukanie maszyn, z drugiej — głosy tysiąca świeszczów Rano Franz wstaje na swist „syreny“. Straszny jest ten syreni głos — w nawiasie. Sam robi babci kawkę, i jak wszystko gotowe, woła, żeby przysła. Po śniadaniu, w bluzie robotniczej, pędzi do pracy. O 12-tej znów, na świst syreni, przychodzi na obiad. Ja, ubrana, czekam na syna. Obiad przynosi nam chłopiec fabryczny, w białej, czystej bluzie, w manażkach, więc sia-

damy i jemy, jak para robotników. Gotuje nam dwojgu, i praktykantom, kucharka, rosyanka. Więc: barszcz, kisielki, pierogi, ogórki faszerowane i t. d. Śmiejemy się nieraz z menu, który, dalibóg, nie mógłby figurować w Caffé de Paris. Potem kawa czarna, turecka, którą Franz pysznie przyprawia; czytamy pisma, gazety i pan dyrektor znów mknie do pracy — żeby się już dopiero wieczorem pokazać na „pierogi z mięsem“ i herbatę. Po kolacy zaczyna się koncert. Franz gra na wiolonczeli, nawet bardzo pięknie, bo się wprawił bardzo przez rok samotności. O 10-tej, gawędząc, ścielamy sobie łóżka i idziemy spać. Tak, dzień za dniem. Więc, mój drogi, już na dobre jestem „ś. p. Wrotnowską“; obecnie czuję się „Dziewulski i Lange“. Paskudna rzecz, to brak księdza, Mszy św., spowiedzi. O tem nikt dotychczas nie pomyślał. Jest ksiądz, Ormianin, z brodą, *Mazuriantis*, ale ciągle w rozjazdach. Msza św. niewiadomo, kiedy się odprawia. Robotnik jeden umarł na tyfus bez sakramentów, a

na pogrzebie nieśli krzyż prawosławny, bo katolickiego niema. Mogłaby naprawdę *firma*, ale prawdziwa warszawska, coś zrobić w tym względzie. Strach tak umierać. A, jak na złość, od kilku dni mam influencję i z sercem gorzej. Do widzenia“.

Sławiańsk. Październik, 904.

„Od kilku dni, z mojem zdziwieniem, zaczynam czuć, że jestem zdrową. Czy to skutek kuracyi, czy lepszych wiadomości z Dłutowa, niewiem. Poczciwy p. Ludwik G., jakież on dobry! Winszując mi imienin, ofiarował się z sumą 2,000 rubli na zapłacenie Towarzystwa. Co to za miłe imieniny, prawda? Nie dla pieniędzy, ale dla słodkiej niespodzianki, że ludzi zacnych nie brak na świecie — i dobrego Boga. Z Franzem zgoda bajeczna... Jakież to miła chwila w życiu, gdy syn zamienia się w przyjaciela... Sławiańsk nie jest dziurą, jak piszesz. Jest to miejsce, które mogłoby być jednym cudem, gdyby było w innym kraju. Tutaj wszystko

jest, ale wszystko się marnuje: czas, bogata kopalnia, pieniądz, którego niema na co wydać, zboże, które leży, ponieważ niema komu zbierać. Tu jest ojczyzna monopolówki, tłustych baranów, śmietnisk i świętej, ogólnej obojętności na wszystko, co życie daje i dać może. Jeżdżąc rano do księdza, Ormianina, raz na tydzień, o 7-ej, mogę robić dużo obserwacji nad ludem. Przejeżdżam olbrzymie place targowe; ja, która tyle lat pracowałam w przytułkach noclegowych, tyle widziałam łachmanów, brudu, tyle rozbójniczych twarzy — czegoś podobnego, co tutaj obserwuję, w tłoku zebranych muzyków, tatarów, kupczyków, nie widziałam. Serce marznie, patrząc na ten rój ludzi, nie dzikich, ale jakby ogłupionych i obumarłych w brudzie i bydlęctwie. Całuję moją pachnącą i cywilizacyjną panią“.

Jeszcze dopisek: Wiesz, o czem myślę i marzę całemi godzinami. Rano, kiedy Franz idzie do roboty, wysuwam sobie plecione krzesło, na to dzikie pole, będące obok naszego domku. Tam, wśród za-

pachu dzikich burzanów i schnących łądyg zielska, wśród odgłosu miarowego stuknięcia młota fabrycznego, turkotu cichych świerszczy, myślę nad pewnym planem. Jeżeli będziemy żyły jeszcze dość długo, ty by wydać córki za mąż — ja, Franza ożenić, musimy założyć dom des dames Veuves, coś nakształt des Dames du Calvaire Paryskiego. Nie zrywając zupełnie z rodziną, przytulić się wspólnie do jakiego domu „pracy wspólnej“; mieć wszystkie pociechy, które daje religja, i nieść pociechę biedniejszym od siebie i t. d. i t. d. Czy to nie byłoby przepiękne przejście z tej ziemi do tamtego świata?

Powiesz — *waryatka*. — Ale przez moje długie życie wszystkie moje waryactwa tylko, i jedynie, mi się udawały. Ale nic nie odpisuj, co do tych marzeń“.

Sławiańsk. Listopad, 904.

Proszę nie postponować nasz Sławiańsk. My tu mamy (prócz Franza) dużo miłych i pięknych rzeczy. Fakt, że

lekarze, Polacy, są nadzwyczajni. Sanatorium dr. Kossowskiego, jedno z lepiej urządzonych, jakie widziałam. On — jedyny tu lekarz, który we mnie wzbudził zaufanie. Franz wyseła mnie około połowy listopada do Warszawy, gdzie mam się jeszcze poradzić specjalisty, gdyż wynaleźli mi nową chorobę!... Świerszcze już przestały trąkotać, jesień się zbliża — a tutejsza jesień dziwna, liście na drzewach, chwasty, burzany, roślinność cała warzy się i kurczy — jak w ogniu. Zaczynają się wichry tak silne, że oddychać trudno, a tumany szare, zakrywają nie raz horyzont cały — wałkują się wściekle po ziemi. Nigdy nic podobnego nie widziałam. Czy jeszcze wątpisz o moich kochanych Japończykach, czy też jest to poprostu, że nie chcesz mi się wykupić fotografią? Cierpliwości proszę jeszcze 2 — 3 tygodnie. „Listy, które go nie doszły“, czytałam. Zrobiły one furorę w całej Europie, boć to przecie obraz nie jednego życia! Gdyby niejedno uczucie wiadome było, gdyby niejedyn fakt mógł

być wyjaśniony! Jakaż różnica w życiu naszym. Ile to rzeczy *nie dochodzi*, ileż tajemnic bolesnych nasze serca przechowują. Tak, moja droga, ale „cóż robić“.

Sławiąnsk Listopad, 904.

„A co? — Laojan!! kto znów z nas będzie miał fotografię — i czyją? A nim ten list ciebie dojdzie — to już zobaczysz... czy nie jestem prorokinią, prawdziwą, nieomylną.

W Warszawie pragnę odprawić jubileusz i 10-dniowe rekolekcyje. Pragnęłabym bardzo odbyć te dewocye w Przytulisku. Pisałam, z prośbą do pani Gruszczyńskiej, i sądzę, że mi nie odmówi. Tu-tejszy sezon zamknięty, doktorzy się rozjechali, maserki frunęły; ale my — *nasza firma* — nasza fabryka, nic tego nie odczuwamy.

M. W.“

Jaka z tych listów wieje swoboda, wesołość prawie, i jak czar poezyi.. Optymizm, wrodzony charakterowi pani Wrot-

nowskiej, okazuje się tu najdobitniej: daleko od kraju, na obczyźnie, w tak innych warunkach życiowych, jak te, do których przywykła, bez służby, bez wyręczenia żadnego, spędzająca dni całe samotnie, na myśl jej nawet nie przychodzi skarżyć się, żadnego żalu na ludzi, na okoliczności, w sercu jej niema, wszystko przyjmuje ze spokojem i poddaniem się wyrokom Bożym. I owszem, w każdej rzeczy dobrą stronę upatruje i z niej się cieszy. Te listy ze Sławiańska są, zdaje mi się, całkowitym wyrazem jej charakteru i usposobienia, i najlepiej ją malują.

W drugiej połowie listopada, przyjechała pani Wrotnowska do Warszawy i zamieszkała w Przytulisku; tam też, jak sobie postanowiła, odprawiła jubileusz, potem rekolekcyę, z cechującą ją, głęboką wiarą i pobożnością. Uważała te rekolekcyę jako przygotowanie się na śmierć, gdyż, z orzeczenia lekarzy, miała się poddać ciężkiej i bardzo niebezpiecznej operacyi.

Jak się jest bogatym, jak można na wy-

datki nie uważać, wszystko jest ułatwione. Są w Warszawie wygodne i doskonale urządzone sanatoria, w których chory korzysta z wszelkich wygod i komfortu. Jakże inaczej się choroba przedstawia, gdy, zamiast majątku, ma się długi, gdy każdy grosz, dla siebie wydany, ciąży ołowiem na sumieniu. Jednak operacja była konieczną. Pani Wrotnowska, będąc teraz ubogą, chciała chorować, jak uboga. Umieściła się w biednym Przytułku na ulicy Wroniej, gdzie zacny człowiek, a wielki jej przyjaciel, dr. S. Z., miał dokonać operacji i opiekę lekarską nad nią roztoczyć. Sam jej odradzał umieszczenie się w tym Przytułku. Znając ją oddawna, za czasów majątkowo świetnych, wiedząc, do jakiego życia była przyzwyczajona, sądził, że niepodobnem będzie dla niej przebycie tak ciężkiej choroby w przytułku, przeznaczonym dla biednych kobiet z ludu, gdzie, choć leczenie i opieka lekarska były pierwszorzędnym, nie można było wymagać wygod i komfortu, do których jesteśmy teraz przyzwyczajeni. Pani Wrotnowska jed-

nak, wbrew prośbie synów, postanowienia swego zmienić nie chciała, i w wilię dnia, przeznaczonego na operację, przeniosła się na Wronią. Cały ranek następnego dnia przepędziła na gorącej modlitwie, gdy o 11-ej doktorzy przybyli dla jej dokonania, ona jeszcze, śmiejąc się i dowcipkując, lecz zupełnie spokojna, przeszła na salę operacyjną. Dziwną była w takiej chwili, ta moc panowania nad sobą, ta prawie nadludzka siła woli; gdy doktorzy nawet zdawali się przygnębieni, ona jedna zachowała swobodę i naturalność w obejściu. Po dokonanej szczęśliwie operacji, która trwała prawie 3 godziny, nastąpiły długie dni cierpienia, nieruchomości, wielkiego osłabienia; wtedy, pewno gorzej, niż z początku, odczuła niewygody, hałasy, wszelkie braki, ale i teraz żadna skarga z ust jej nie wyszła. Znosiła wszystko z bohaterską cierpliwością, dziękowała za wszystko, a jedna głównie myśl ją zajmowała, jak się odwdzięczyć będzie mogła przyjacielowi doktorowi, który bezinteresownie, a z największą do-

brocią ją pielęgnował i wyleczył. Nareszcie przeszły te kilka tygodni, bądź co bądź, bardzo przykrego dla niej pobytu w Przytułku na Wroniej, i można ją było przewieźć Pogotowiem do mieszkania starszego syna na Wiejską ulicę, gdzie jeszcze dłuższy czas nie ruszała się złóżka, a potem z szeslongu, lecz gdzie powoli zaczęła już przychodzić do sił i potem do względnego zdrowia, które jednak powróciło jej dopiero po powrocie na wieś do Dłutowa w lecie roku 1905-go.

To życie, im bliżej końca, tem duchowo jaśniejsze się stawało. Dusza jej coraz bardziej szlachetniała. Kłopoty, troski się nie zmniejszały, gdyż po wojnie, przyszła rewolucya, a z nią finansowe i przemysłowe bankructwo, ruiny, stagnacya w interesach, a zatem dla synów coraz większa trudność w spłacaniu długów, nad czem, ta kochająca matka, ogromnie bolała.

W tym czasie starszy jej syn, Stanisław, dostał posadę administratora majątków ordynacyi Dawidgródzkiej, u ks. St. Radziwiłła, na Białej Rusi, gdzie udał się

najpierw sam, a w rok później sprowadził żonę i dzieci. Pani Wrotnowska została w Dłutowie, i to rozłączenie z synową i ukochanymi przez nią wnukami bardzo boleśnie odczuła. Na szczęście, długo sama nie została i jej młodszy syn, Franciszek, porzuciwszy posadę dyrektora fabryki w Sławiańsku, powrócił do matki i objął zarząd majątku. Ostatnie więc dwa lata życia pani Wrotnowska już nie ruszała się z Dłutowa; we dwoje, z synem, żyli tam cicho i spokojnie. Pomimo operacji i chwilowego znacznego polepszenia się jej zdrowia, dawna choroba serca powróciła, ataki się powtarzały, chodzić prawie już niemogła i jej tak czynna i żywotna natura nie mogła się już na zewnątrz objawiać. Niemała to też próba dla niej była, gdyż dawnej energii i żywości umysłowej nie zatraciła wcale; władze duchowe te same pozostały, podczas gdy fizyczne nie chciały dopisywać.

Z tej epoki parę listów jeszcze przytoczę.

Dłutów. Październik, 907.

„Kochana moja, już musiałaś powrócić ze wsi. Pisałaś do mnie pod urokiem ciszy i spokoju. Co to za boskie uczucie. Im dłużej, tem milej. Jesień mamy cudowną. Franz oddał mi kuce do dyspozycji, mogę więc wyjeżdżać, kiedy i jak zdrowie pozwala. Nieraz wydaje mi się, że to sen; jak zobaczę te cudowne oświecenie, te nasze pocziwe, rozległe, piękne widoki, i te rozmaite piękności. Ja, stara, której los wszystko odebrał, miewam chwile wielkiego, niespodziewanego szczęścia. Dziękuję wtedy Bogu, że życie, które tyle zabiera, pozostawia uczucie zachwytu. Takich chwil nigdy w Warszawie nie miałam. Czy korespondujesz — à propos Warszawy — z matką Gr.? Imponująca kobieta. Co mówisz o założonem przez nią Towarzystwie Opieki nad Chorymi? Kursa, nauczycielki, uczennice za granicą, całe towarzystwo zorganizowane w Wilnie z atrybucyami tak szerokimi. To wszystko działała ta biedna, ciałem chora i mi-

zerna, stara i nieuleczalnie chora istota. Od wczoraj myśl moja ciągle zaprzątnięta tem wielkiem dziełem. Żebym tak mogła jeszcze dożyć czegoś podobnego po wsiach i naszych małych miasteczkach, żebym jeszcze mogła tutaj mieć stałe ambulatory, małe szpitaliki i t. d.. Wiem, że Bóg wszystko może i nadziei tracić nie będę.

Od dzieci z Litwy miewam często bardzo wiadomości, które tchną zadowoleniem i radością, że wszyscy znajdują się pospołem. Ja zaś, z Franzem, tworzymy osobne gniazdo wdowio-kawalerskie. Mamy zmartwienie, bo od 1-go stycznia zabierają nam naszego proboszcza. Jest to zgryzota i niepokój wielki. Tracimy przyjaciela — i to bardzo zacnego, mądrego i przywiązanego. Moja złota, gryzmołę i przekręcam wyrazy, przepraszam: piszę wieczorem, trochę śpiąca, trochę kiwająca — ale zawsze bardzo cię kochająca“.

Dłutów. Październik, 907.

„Czemu ty się dziwisz mojemu, jak na-

zywasz, poetycznemu nastrojowi? Ja taką byłąm całe życie. Do entuzjazmu jedyna! I teraz wpadam w zachwyty co chwila. Dzisiaj, na przykład, szyby zamarzyły, słońce z tyłu świeciło, gorącymi promieniami oświecało gwiazdy, i trawy, i floresy dziwaczne. Piszę, zamknięta, w zamarzniętym Andersonowskim pałacu. I jestem zachwycona! Ja, stara, wyrzekałam się i z rozkoszą odłożyłam tyle, i tak dużo, rzeczy. A więc cisnęłam precz z życia pretensye, kokieterię, polędwicę, która mi szkodzi — potem gorset, politykę — i dużo innych głupstw młodości. Ale mego kochanego entuzjazmu nie rzucę. Z entuzjazmem otworzę śmierci ramiona. Tak, moja droga“.

Dlutów, 31/12 907.

„Moja najdroższa, niechże z tobą listownie spędzę ostatni Sylvesterabend tego roczny. U nas podczas świąt, było bardzo spokojnie. Franz, Kanonik i ja, w trójkę; opłatek i kapuśniaczek, jako surplus—wigilij. Ale byliśmy spokojni i humory

były ciche; cóż więcej mi potrzeba? Po wiliż musiał Franz pojechać za interesami. Ja zostałam sama w mojej Tebaïdzie. Jakżeby w niej dobrze było, żeby nie owa nieodstępna tęsknota za ukochanemi, i często, bardzo straszne ataki. Przychodzą one teraz całkiem niespodziewanie, w nocy — budzę się — i następują symptomy konania — bardzo niemiłe. Przeszłam, w ostatnich czasach, takich ataków dwa, tak silnych, że się dziwię, jaką siłą żywotną jeszcze żyć mogę. Ale, jak tylko przejdą, jestem znów najzdrowsza i w najlepszym humorze. Moja filozofia życiowa, owe — „cóż robić“, które dotychczas było mi pomocne, podpira mnie i teraz.

Skarżysz się na brak czasu, moja najdroższa; kiedy to ten czas coraz to krótszy się robi z wiekiem. Ja prawie nie mam teraz nic do roboty. Franz, gospodarstwo, to tylko rozweselenie i zajęcie; inne, mniejsze urządzania, prawie, jak na śmiech, a mimo tego, dzień za dniem uciekają po prostu. To, co mi Franz z Warszawy przywiózł, bardzo bolesne. Dzisiaj

odebraliśmy rozkaz zamknięcia Macierzy. A w jakich słowach jest owa odezwa, jakie powody podane! Z Litwy dobre wiadomości, prócz tego, że Stach nabawił się febry i newralgii. Jeździ po lasach, nocuje w szałasach, nawet często à la belle étoille; prowadząc życie Robinsona, rozchorował się i nie mógł nawet wpaść do Dłutowa.

Dobrego, spokojnego roku ci życzę, moja najdroższa; już od dawna wesołego nie życzę — bo to na ironję zakrawa. Bodajbyśmy się coraz więcej kochały — i rok 1908 pod tym względem był dobry, nawet lepszy, jak ten, co mija“.

Dłutowo. Kwiecień, 908.

„Życzę ci spokojnych, dobrych świąt, spokoju zupełnego dla duszy i ciała; nie wiem tylko, czy to na świecie wogóle jest możebnem! Mam smutek i żal w sercu, że przyjechać nie możesz. Jest to jedna nadzieja mniej. Bardzo jestem minorowo nastrojona; dowiedziałam się o chorobie mego kochanego Prezesa. Boję się,

czy to nie będzie koniec. Jeżeli mu punkcye robią, musi biedny strasznie się dusić i cierpieć. Przypominam sobie tę jego dobroć dla mnie, tę ofiarność ciągłą i cierpliwą, i serce mi się kraje na myśl, że go stracić mogę. Żeby nie on, nie mieszkiałabym obecnie w Dłutowie. Przykrą mi jest myśl, że go pielęgnować nie mogę, i niczem wdzięczności mojej okazać nie jestem w stanie. Modlę się codziennie za niego. Ale co znaczy modlitwa takiej duszy, co to, jak on, poczciwy, nazywał „jest sobie takie fiu-fiu“!!

Na święta proszeni z Franzem jesteśmy na wielkie zebranie rodzinne do tego krewnego naszego, starego kawalera (którego jeszcze swatam z Z. M.). Czy pojedę, nie wiem. Franz chce sprowadzić doktora z miasta, który ma zdecydować, czy serce zniesie kilka mil Mławskiej drogi, czy nie.

Co mi piszesz o Królikarni, daj Boże, żeby się sprawdziło. Ale gdzie stanąłby ten pawilon dla mężczyzn? Czy M. Kr. sprzedałaby tę rudere, starą karczmę? Tamby miejsce idealne było. Twoja“.

Dłutowo. Kwiecień, 908.

„Moja kochana, ty jedna zrozumiesz, jak okropnie żałuję mego kochanego, nieoszacowanego, dobrego L. G. Pocziwy, dobry, nie tylko od śmierci męża ciągle mnie wspomagał, jeszcze w testamencie coś zapisał. Jak mi go brak — jest i będzie — bo on jeden znał, kochał moją matkę. On się mną, przez pamięć dla niej opiekował, czułam w nim podporę — której zawsze — a może najwięcej w starości potrzeba. W jednej z ostatnich rozmów, jakie z nim miałam, opowiadał mnie o dzieciństwie mojem, o młodości: o tem, jak pierwszą jego miłością moja matka była. W dzień, w którym dostałam bolesną wiadomość, wieczorem, cudny zachód był słońca. Promienie zalały tak mój pokój, że się zdawał być w ogniu — w jasności nadziemskiej. Zdawało mi się wtedy, że to jest, jakby pieśń tryumfu dla zmarłego, że to znak szczęścia, w jakim dusza jego opływa, że się złączył na tamym świecie z moją ukochaną i że się przywitali tam,

gdzie się śmierci i rozłączenia lękać już nie będą. Naturalnie, jak mnie znasz, prawie wszystko, co mi zapisał, oddałam Franzowi. Jego życie dotychczas takie ciężkie! Wymówiłam sobie tylko sto rubli na statkę Matki Boskiej, która stanie na drodze, blisko dawnej apteczki; no, i bursę białą — którą, proszę cię teraz, przyślij jak najprędzej. Do kuzyna mego, na huczne święcone, doktor, po auskultowaniu mnie, jechać nie pozwolił.

Franz jedzie do Warszawy; przyszło mi do głowy, że musi ciebie wtedy *wyrwać gwałtem*, zrobić „*an elopement*“ — z tobą i przywieźć do Dłutowa. Piszesz, że nie jesteś zdecydowana, więc na niezdecydowanych to sposób jedyny. Wykradzenie! i basta!

Czy widziałaś A. Br., po ohydnych morderstwie brata? I do niej pisałam, bo mi jej żal okropnie. Żegnam cię, najdroższa, pamiętaj o 27 kwietnia. Niech nasze modlitwy się złączą — i odnajdą — kiedy my się już nie zobaczymy“.

M. Wr.

To był ostatni jej list przed śmiercią, i jakby w nim przeczuwała, że jej koniec już bliski. W dziesięć dni później pani Wrotnowska żyć przestała. Ostatnia jej choroba trwała tydzień. Gdy wrócił się jej zwykły atak sercowy, na drugi dzień po napisaniu tego listu, tknięta przecuciem, że to ostateczna pora, zawezwała swego proboszcza, spowiadała się, komunikowała, przyjęła ostatnie oleje św. ze spokojem, poddaniem się woli Bożej, gotowa na wszystko, a z największą przytomnością. Gdy zdawało jej się, że ksiądz zapomina namaścić jej usta olejem św., dopomniła się o to, mówiąc: „proboszczu, nie zapominajcie tych ust, co tyle nagrzeszyły“. Po przyjęciu Sakramentów św., wydała wszystkie dyspozycje na wypadek śmierci. A więc zarządziła, jak mają ją ubrać do trumny, wybrała niektóre pamiątki po matce i rodzeństwie, z którymi chciała być pochowana; fotografię najukochańszej siostry Chłędowskiej kazała sobie na sercu położyć; w jaknajdrobniejszych szczegółach pogrzeb swój zadyspo-

nowała, a chciała, żeby ten pogrzeb był, jak prostej kobiety z ludu; wymieniła po imieniu i nazwisku, tych z włościan Dłutowskich, którzy mieli jej trumnę zanieść na cmentarz, zabroniła śpiewów podczas pogrzebu; przykazała, aby jej trumnę wprost w ziemi położono, bez podwyższenia, ani katafalku.

W godzinę później dostała ataku paralitycznego lewego boku, języka i przełyku. Choć całą przytomność swą zachowała, ani słowa już wymówić do końca nie mogła, ani kropli wody przełknąć. Z synami, którzy na wiadomość o tem nagłym pogorszeniu się zdrowia matki, pośpieszyli do Dłutowa, mogła się jeszcze jako tako porozumieć pisaniem, gdyż prawa ręka została nie sparaliżowana, a choć to ją bardzo męczyło, próbowała kilka zdań i zdań tak wypisać. Cierpiała strasznie, gdyż oprócz paraliżu, dostała równocześnie ataku kamieni żółciowych. Wiadomo, jak straszne boleści ta choroba wywołuje, morfina tylko może te bóle uśmierzyc, a tu, mając przełyk sparaliżowany,

żadnego lekarstwa przyjmować nie mogła. Opowiadali mi synowie, że w oczach matki tak straszny ból się malował, że ciągle tylko modlili się o prędszy koniec tych cierpień. Nareszcie to biedne, wymęczone serce nie wytrzymało; na kilka godzin przed śmiercią straciła przytomność i dnia 1-go maja zakończyła życie.



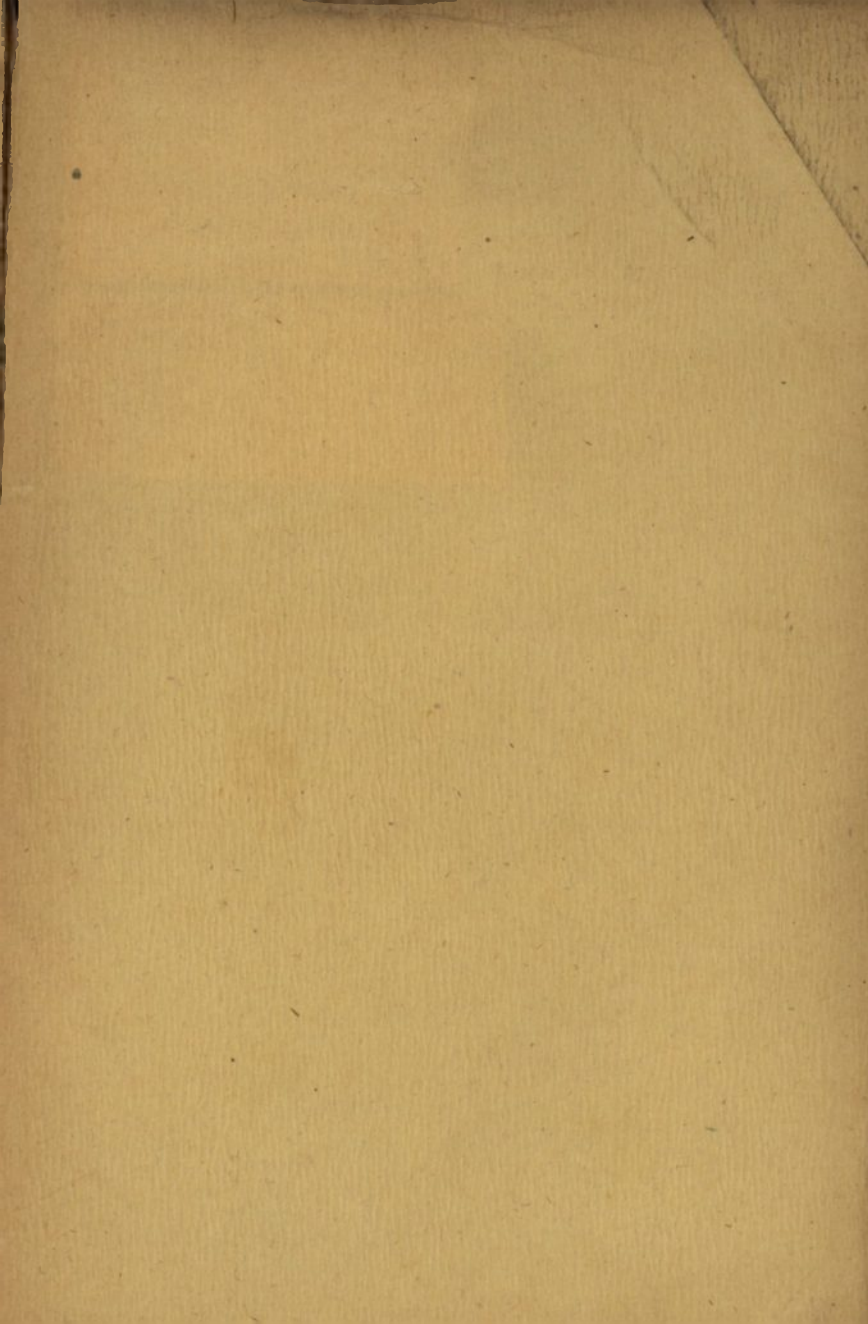
W małej, pałacowej kapliczce w Dłutowie złożono. po śmierci, zwłoki ś. p. Maryi Wrotnowskiej. Jej prostą, z białego drzewa trumnę, położono na ziemi. Ona, w czarnej, wełnianej, luźnej sukni, którą codziennie nosiła, w czepku wdowim z długim, białym welonem, którego, od śmierci męża nigdy nie zdejmowała, leżała spokojna, uśmiechnięta, z koronką w złożonych rękach, z fotografią siostry na sercu. W koszyczku, u boku, miała wszystkie pamiątki rodzinne, z którymi pragnęła być pochowana. Cztery świece, trochę kwiatków, nic więcej. Tak leżała trzy dni, do chwili pogrzebu. 4-go maja,

Mszę św. odprawił Dłutowski, dawny proboszcz, a jej długoletni, serdeczny przyjaciel, ks. Mieczkowski, który na wiadomość o śmierci pani Wrotnowskiej, pośpieszył do Dłutowa, gdyż chciał sam złożyć do ziemi zwłoki tak głęboko przez siebie cenionej i kochanej, dawnej parafianki. Oprócz małej garstki najbliższej rodziny, paru przyjaciół, jedynymi uczestnikami pogrzebu byli włościanie miejscowi i okoliczni, bardzo licznie zebrani. Oni to, mianowicie ci, których zmarła sama wymieniła, wzięli na barki tę prostą, białą trumnę, i zanieśli ją do poblizkiego cmentarza. Podług wyrażonego życzenia, miała Marya Wrotnowska być pochowaną nie w grobie rodzinnym, ale w ziemi, nieopodal grobu; tam więc, do świeżo wykopanego dołu spuszczone trumnę.

Placz ogromny i szlochanie obecnych, służby dworskiej i licznie zebranego ludu, zagłuszały prawie mowę Proboszcza; on sam, z największym trudem mógł kilka słów dokończyć, w których żegnał tę kochaną przez wszystkich Panią, tę dobro-

dziękę całej okolicy, głównie biednych, chorych i opuszczonych. Rzewny był nad wyraz widok tego skromnego pogrzebu; tyle żalu, tyle łez, takie uczucie osieroce-
nia odbijało się na twarzach wszystkich obecnych, widocznem było, że serca uczest-
ników pogrzebu głęboko były przejęte tą niepowetowaną stratą, że odeszła z tego świata istota niepospolita, która trwały ślad po sobie zostawiła; bo jakżeż nazwać inaczej, tyle łez otartych, tyle ulgi przy-
niesionej niedoli bliźnich, tyle serc zagroż-
nych do czynnej miłości bliźniego, cały za-
stęp osób różnego stanu i wieku, których zbliżyła do biednych i nieszczęśliwych i nauczyła, jak dla nich pracować, tyle za-
kładów dobroczynnych, powstałych za jej staraniem; czyż nie do niej, zdawałoby się, mogły w zupełności zastosować się słowa Ewangeliczne: „Dobrze słuگو, dobry i wierny, iżes nad małem był wierny, nad wielom cię postanowię; wejdz do wesela Pana twego“.





chw. 3

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11556



1000172185